ŚWIAT

Nr. 19
8. V. 1937.
CENA 1 ZŁ.



w numerze:

EWA BANDROWSKA-TURSKA
wystąpiła z wielkiem powodzeniem
W TEATRZE WIELKIM
W OPERZE „MARKIZA"

ŚWIAT

REDAKTOR NACZELNY LEON CHRZANOWSKI
ROK XXXII Nr 19 8. V. 1937

POŁÓW PEREŁ

Piękno koronek

Znane z piękności koronki z Valenciennes (spospolitowane przez maszynowe imitacje, nawet zdaleka nie przypominające oryginału) — wyrabiane były w warunkach specjalnych, które zapewniały im najdoskonalszą regularność oczek i cienkość nitki. Koronki te wymagały takiej precyzji w pracy, że najbardziej wykwalifikowana koronczarka nie mogła dziennie wykonać więcej, jak 4 centymetry „walansjenki". Jedną parę mankietów koronkowych robiło się cały rok... Wymagania nabywców, którymi z reguły byli tylko wielcy magnaci, szły tak daleko, że płacili np. cenę znacznie wyższą za taką koronkę, co do której istniał dowód, iż w całości wykonana była rękami tej samej pracownicy.

Były to może drobne dziwactwa bogaczy, mogących za nie płacić.

Ale najważniejsze jest to: prawdziwe, w samem mieście Valenciennes wykonane koronki, dlatego były najpiękniejsze na całym świecie, że dla osiągnięcia najcieńszej nitki i najregularniejszego ściegu — koronczarki wykonywały swą pracę *w ciemnych i wilgotnych piwnicach*. Ta wilgoć zapewniała gładkość nitce i piękność koronce...

Nowe kryterjum

Niezwykły wynalazek zrobił w Niemczech Związek Rzeszy dla Spraw Wychowania Fizycznego. Bardzo obostrzył warunki dla wszystkich sportowców wyjeżdżających zagranicę. Od dziś nie wystarcza ,że Iks świetnie kopie piłkę, a Igrek skacze na rekordową wysokość. Od dziś Iks i Igrek poddawani są dodatkowym egzaminom.



Ze swej specjalności sportowej? E, gdzietam...

Z filozofji i ideologji hitlerowskiej!

(Przy znanym braku zapału „ludzi muskułów" do wysiłku umysłowego — obawiać się należy, że w rezultacie „ściąć się" mogą na tym egzaminie najtęższi sportowcy — a wyjadą na zagraniczne zawody same patałachy, którym „ideologja" jakoś wejdzie do głowy).

Ryzykowne pomysły.

Humor angielski

— Tatusiu, jako skaut spełniłem dziś dobry uczynek — powiada mały John do ojca.

— Już?—dziwi się mister Brown. Przecież jest dopiero ósma rano. Jakeś ty to zdążył?

— Spostrzegłem, że stary pan Smith spóźni się na pociąg do biura. Więc wypuściłem na niego psa. No i zdążył.

Sukcesy Bluma

Wystawa Paryska miała być kamieniem probierczym rządów Bluma. Otwarcie jej w porę stanowiło punkt ambicji — a może i warunek trwania rządów socjalistycznych. I cóż?

Robotnicy zajęci przy budowie wystawy nagminnie strajkują — i otwarcie jej odkłada się o kilka tygodni.

A dla dopełnienia miary zastrajkowali też pracownicy teatrów i lokali rozrywkowych. Grożą strajkiem pracownicy restauracji i hoteli. No i oczywiście rzucają efektowne hasło... strajku generalnego — w czasie trwania wystawy. Tę wiadomość czytamy w „Gońcu Warszawskim".

Wszystko to jest niewątpliwie znakomitym magnesem dla przyciągnięcia na wystawę jaknajwiększej ilości turystów...

Najpikantniejszą wiadomość jednak czytamy w paryskim „Matin", który pisze, że wobec spadku produkcji fabryk francuskich, spowodowanego nowemi prawami socjalnymi — pawilony francuskie na wystawie nie mogą *we Francji* nabyć potrzebnej ilości szyb do oszklenia swych sal.

Aby zdążyć na czas — zamówiono więc te szyby dla pawilonów francuskich — *w fabrykach niemieckich!*

Tego się chyba towarzysz Blum nie spodziewał...

Przekład... z przesiadaniem

Istnieje prześliczny zbiór opowiadań dla dzieci o małym pajacyku, zwanym Pinocchio. Napisał je włoch, Collodi, i jako arcydzieło w swoim rodzaju książka ta została przetłomaczona na wszystkie języki świata. Na polski też. Mówił mi przed laty zmarły Władysław Kościelski, że marzy o tem, aby „Pinocchia" przełożyć i pięknie wydać. Zdaje mi się jednak, że nie zdążył wykonać swego zamierzenia — i że „Pinocchio" ukazał się w innym przekładzie.

Aliści w roku bieżącym stanęła na półkach księgarskich w Polsce obok autentycznego włoskiego pajacyka książka inna, zatytułowana błędnie „Buratino". (Wyraz jest włoski — i pisze się naprawdę *burattino*). Autorem tej książki jest pisarz sowiecki Al. Tołstoj. „Buchnął" on sobie poprostu całe ustępy tekstu włoskiego pisarza, doczepił tu i owdzie coś od siebie — i wydał jako swoje.

Przekładu na polski dokonał niebyle kto — Juljan Tuwim.

Kiedy się z tej racji zrobiło w prasie małe piekiełko — świetny tłumacz wyznał w „Wiadomościach Literackich", że jemu, nie zaś Tołstojowi przypisać należy winę nieporozumienia. Bo Tuwim zapomniał poprostu przy dokonywaniu przekładu o przedmowie Tołstoja, w której autor pisze tak:

Kiedy się z tej racji zrobiło w bardzo, bardzo dawno temu —czytałem pewną książkę. Nazywała się ona „Pinocchio czyli przygody marjonetki" (po włosku „burattino"). Często opowiadałem znajomym dziewczynkom i chłopcom ciekawe przygody Burattina. Ale *że książka zginęła*, więc za każdym razem opowiadałem inaczej, wymyślając takie historyjki, jakich w książce wcale nie było. Teraz, po wielu, wielu latach przypomniał mi się mój stary przyjaciel Burattino, i *postanowiłem wam opowiedzieć niezwykłą historję* o tym drewnianym człowieczku".

Wszystko byłoby wytłomaczeniem dostatecznem gdyby...

Gdyby nie to, że Tostojowi widocznie za dobrze dopisuje pamięć. I chociaż „książka zginęła" — (ta z prawdziwym Pinocchiem) — to jednak rosyjski autor całe z niej ustępy zapamiętał DOSŁOWNIE — i tak je też podaje w książce — SWOJEJ.

Przedmowa Tołstoja zataja, że książka jego jest w znacznej części PRZEKŁADEM książki Collodiego.

Trudno jest zrozumieć, dlaczego ofiarowano nam włoskiego pajacyka właśnie pod rosyjską firmą. Taki przekład „z przesiadaniem" przypomina swą celowością sięganie prawą ręką do lewej kieszeni. Tyle o stronie artystycznej tej sprawy.

Co do strony etycznej...

Właściwie cóż to kogo może obchodzić, że sobie sowiecki pisarz przywłaszczył dzieło cudze i wyraźnie się do tego nie przyznał.

Collodi już dawno nie żyje... Tem bezpieczniej można było z nim postąpić bezceremonjalnie.

Jesteśmy odważniejsi

W czemś przecie jesteśmy lepsi od naszych przodków. Mamy od nich stanowczo więcej odwagi.

Jakto? — powiedzą państwo. Dawniej się ludzie z zamiłowaniem bili na wojnie, dokonywali najazdów, pojedynkowali o byle co...

Wszystko to furda! Byli mimo to mniej odważni od nas.

Z racji pierwszego stuletniego jubileuszu kolei żelaznych prasa przypomina, że „szybkość" pociągów tak wówczas przerażała ludzi, iż kolej zmuszona była płacić pasażerom, którzy pierwsi odważyli się wsiąść do pociągu z Paryża do Wersalu. Płacono podobno „od głowy" po 5 franków. Bohaterowie brali gotówkę, spisywali testament — i wsiadali do wagonu, polecając się opiece boskiej.

No bo jakżeż...

Pociąg szedł z szybkością — dwudziestu kilometrów na godzinę!

Istne szaleństwo.



Ciekawe rodowody

Aczkolwiek mam wszystkie babki w porządku i żadnych indagacji na ten temat się nie obawiam — nie lubię pod tym względem sprawiać przykrości innym. I nigdy takich pytań nie stawiam. Stawiają je natomiast coraz częściej sami żydzi.

Bojowe i agresywne pisemko „Oko w oko" wydawane przez pana Imbera, znalazło ni stąd ni zowąd całą serję zasłużonych polaków, którym „zagląda w babkę" i których anektuje. Że należy do nich Feldman, Ortwin, Askenazy, Napierski, etc. — to dla nikogo nie stanowi niespodzianki.

Imber jednak anektuje również na rzecz żydów — *Bałuckiego, Tetmajera* i *Boy'a*.

Czy aby nie nadmierna zachłanność?

Szybka orjentacja

— Jakto — wyprowadzacie się państwo z tego mieszkania, chociaż mieszkaliście w nim trzy lata? Dlaczego?

— Ależ panie, tak dłużej być nie mogło! Spostrzegliśmy, że w tem mieszkaniu wcale niema łazienki!

Doktryna a rzeczywistość

„Czas" zamieszcza ciekawe zestawienie dwuch oficjalnych enuncjacji. Jedna — min. Poniatowskiego, wygłoszona w dniach ostatnich wobec prasy — twierdzi, że „większa własność w produkcji rolnej odgrywa już zupełnie drugorzędną rolę i w dziedzinie tej zajmuje mało ważną pozycję".

Enuncjacja druga — a właściwie wcześniejsza — pochodzi również z Min. Rolnictwa, z przed pół roku. Jest to wykres, stwierdzający oficjalnie, że większa własność — która posiada w Polsce już tylko 17%, ziemi — jednak dostarcza na rynek *przeszło połowę potrzebnego Polsce zboża*. Ściśle — 52%.

Jak te dwie enuncjacje pogodzić?

Gdzie szukać ich wyjaśnienia?

Czyżby tylko w doktrynie antyziemiańskiej, jaką się dziś kieruje ministerstwo najważniejszego w Polsce gospodarczego resortu?

Uparty nurek.

ŚWIAT

REDAKTOR NACZELNY LEON CHRZANOWSKI
ROK XXXII Nr 19 8. V. 1937

POŁÓW PEREŁ

Piękno koronek

Znane z piękności koronki z Valenciennes (spospolitowane przez maszynowe imitacje, nawet zdaleka nie przypominające oryginału) — wyrabiane były w warunkach specjalnych, które zapewniały im najdoskonalszą regularność oczek i cienkość nitki. Koronki te wymagały takiej precyzji w pracy, że najbardziej wykwalifikowana koronczarka nie mogła dziennie wykonać więcej, jak 4 centymetry „walansjenki". Jedną parę mankietów koronkowych robiło się cały rok... Wymagania nabywców, którymi z reguły byli tylko wielcy magnaci, szły tak daleko, że płacili np. cenę znacznie wyższą za taką koronkę, co do której istniał dowód, iż w całości wykonana była rękami tej samej pracownicy.

Były to może drobne dziwactwa bogaczy, mogących za nie płacić.

Ale najważniejsze jest to: prawdziwe, w samem mieście Valenciennes wykonane koronki, dlatego były najpiękniejsze na całym świecie, że dla osiągnięcia najcieńszej nitki i najregularniejszego ściegu — koronczarki wykonywały swą pracę *w ciemnych i wilgotnych piwnicach*. Ta wilgoć zapewniała gładkość nitce i piękność koronce...

Nowe kryterjum

Niezwykły wynalazek zrobił w Niemczech Związek Rzeszy dla Spraw Wychowania Fizycznego. Bardzo obostrzył warunki dla wszystkich sportowców wyjeżdżających zagranicę. Od dziś nie wystarcza ,że Iks świetnie kopie piłkę, a Igrek skacze na rekordową wysokość. Od dziś Iks i Igrek poddawani są dodatkowym egzaminom.



Ze swej specjalności sportowej? E, gdzietam...

Z filozofji i ideologji hitlerowskiej!

(Przy znanym braku zapału „ludzi muskułów" do wysiłku umysłowego — obawiać się należy, że w rezultacie „ściąć się" mogą na tym egzaminie najtęższi sportowcy — a wyjadą na zagraniczne zawody same patałachy, którym „ideologja" jakoś wejdzie do głowy).

Ryzykowne pomysły.

Humor angielski

— Tatusiu, jako skaut spełniłem dziś dobry uczynek — powiada mały John do ojca.

— Już?—dziwi się mister Brown. Przecież jest dopiero ósma rano. Jakeś ty to zdążył?

— Spostrzegłem, że stary pan Smith spóźni się na pociąg do biura. Więc wypuściłem na niego psa. No i zdążył.

Sukcesy Bluma

Wystawa Paryska miała być kamieniem probierczym rządów Bluma. Otwarcie jej w porę stanowiło punkt ambicji — a może i warunek trwania rządów socjalistycznych. I cóż?

Robotnicy zajęci przy budowie wystawy nagminnie strajkują — i otwarcie jej odkłada się o kilka tygodni.

A dla dopełnienia miary zastrajkowali też pracownicy teatrów i lokali rozrywkowych. Grożą strajkiem pracownicy restauracji i hoteli. No i oczywiście rzucają efektowne hasło... strajku generalnego — w czasie trwania wystawy. Tę wiadomość czytamy w „Gońcu Warszawskim".

Wszystko to jest niewątpliwie znakomitym magnesem dla przyciągnięcia na wystawę jaknajwiększej ilości turystów...

Najpikantniejszą wiadomość jednak czytamy w paryskim „Matin", który pisze, że wobec spadku produkcji fabryk francuskich, spowodowanego nowemi prawami socjalnymi — pawilony francuskie na wystawie nie mogą *we Francji* nabyć potrzebnej ilości szyb do oszklenia swych sal.

Aby zdążyć na czas — zamówiono więc te szyby dla pawilonów francuskich — *w fabrykach niemieckich!*

Tego się chyba towarzysz Blum nie spodziewał...

Przekład... z przesiadaniem

Istnieje prześliczny zbiór opowiadań dla dzieci o małym pajacyku, zwanym Pinocchio. Napisał je włoch, Collodi, i jako arcydzieło w swoim rodzaju książka ta została przetłomaczona na wszystkie języki świata. Na polski też. Mówił mi przed laty zmarły Władysław Kościelski, że marzy o tem, aby „Pinocchia" przełożyć i pięknie wydać. Zdaje mi się jednak, że nie zdążył wykonać swego zamierzenia — i że „Pinocchio" ukazał się w innym przekładzie.

Aliści w roku bieżącym stanęła na półkach księgarskich w Polsce obok autentycznego włoskiego pajacyka książka inna, zatytułowana błędnie „Buratino". (Wyraz jest włoski — i pisze się naprawdę *burattino*). Autorem tej książki jest pisarz sowiecki Al. Tołstoj. „Buchnął" on sobie poprostu całe ustępy tekstu włoskiego pisarza, doczepił tu i owdzie coś od siebie — i wydał jako swoje.

Przekładu na polski dokonał niebyle kto — Juljan Tuwim.

Kiedy się z tej racji zrobiło w prasie małe piekiełko — świetny tłumacz wyznał w „Wiadomościach Literackich", że jemu, nie zaś Tołstojowi przypisać należy winę nieporozumienia. Bo Tuwim zapomniał poprostu przy dokonywaniu przekładu o przedmowie Tołstoja, w której autor pisze tak:

Kiedy się z tej racji zrobiło w bardzo, bardzo dawno temu —czytałem pewną książkę. Nazywała się ona „Pinocchio czyli przygody marjonetki" (po włosku „buratti-no"). Często opowiadałem znajomym dziewczynkom i chłopcom ciekawe przygody Burattina. Ale *że książka zginęła*, więc za każdym razem opowiadałem inaczej, wymyślając takie historyjki, jakich w książce wcale nie było. Teraz, po wielu, wielu latach przypomniał mi się mój stary przyjaciel Burattino, i *postanowiłem wam opowiedzieć niezwykłą historję* o tym drewnianym człowieczku".

Wszystko byłoby wytłomaczeniem dostatecznem gdyby...

Gdyby nie to, że Tostojowi widocznie za dobrze dopisuje pamięć. I chociaż „książka zginęła" — (ta z prawdziwym Pinocchiem) — to jednak rosyjski autor całe z niej ustępy zapamiętał DOSŁOWNIE — i tak je też podaje w książce — SWOJEJ.

Przedmowa Tołstoja zataja, że książka jego jest w znacznej części PRZEKŁADEM książki Collodiego.

Trudno jest zrozumieć, dlaczego ofiarowano nam włoskiego pajacyka właśnie pod rosyjską firmą. Taki przekład „z przesiadaniem" przypomina swą celowością sięganie prawą ręką do lewej kieszeni. Tyle o stronie artystycznej tej sprawy.

Co do strony etycznej...

Właściwie cóż to kogo może obchodzić, że sobie sowiecki pisarz przywłaszczył dzieło cudze i wyraźnie się do tego nie przyznał.

Collodi już dawno nie żyje... Tem bezpieczniej można było z nim postąpić bezceremonjalnie.

Jesteśmy odważniejsi

W czemś przecie jesteśmy lepsi od naszych przodków. Mamy od nich stanowczo więcej odwagi.

Jakto? — powiedzą państwo. Dawniej się ludzie z zamiłowaniem bili na wojnie, dokonywali najazdów, pojedynkowali o byle co...

Wszystko to furda! Byli mimo to mniej odważni od nas.

Z racji pierwszego stuletniego jubileuszu kolei żelaznych prasa przypomina, że „szybkość" pociągów tak wówczas przerażała ludzi, iż kolej zmuszona była płacić pasażerom, którzy pierwsi odważyli się wsiąść do pociągu z Paryża do Wersalu. Płacono podobno „od głowy" po 5 franków. Bohaterowie brali gotówkę, spisywali testament — i wsiadali do wagonu, polecając się opiece boskiej.

No bo jakżeż...

Pociąg szedł z szybkością — dwudziestu kilometrów na godzinę!

Istne szaleństwo.



Ciekawe rodowody

Aczkolwiek mam wszystkie babki w porządku i żadnych indagacji na ten temat się nie obawiam — nie lubię pod tym względem sprawiać przykrości innym. I nigdy takich pytań nie stawiam. Stawiają je natomiast coraz częściej sami żydzi.

Bojowe i agresywne pisemko „Oko w oko" wydawane przez pana Imbera, znalazło ni stąd ni zowąd całą serję zasłużonych polaków, którym „zagląda w babkę" i których anektuje. Że należy do nich Feldman, Ortwin, Askenazy, Napierski, etc. — to dla nikogo nie stanowi niespodzianki.

Imber jednak anektuje również na rzecz żydów — *Bałuckiego*, *Tetmajera* i *Boy'a*.

Czy aby nie nadmierna zachłanność?

Szybka orjentacja

— Jakto — wyprowadzacie się państwo z tego mieszkania, chociaż mieszkaliście w nim trzy lata? Dlaczego?

— Ależ panie, tak dłużej być nie mogło! Spostrzegliśmy, że w tem mieszkaniu wcale niema łazienki!

Doktryna a rzeczywistość

„Czas" zamieszcza ciekawe zestawienie dwuch oficjalnych enunicjacji. Jedna — min. Poniatowskiego, wygłoszona w dniach ostatnich wobec prasy — twierdzi, że „większa własność w produkcji rolnej odgrywa już zupełnie drugorzędną rolę i w dziedzinie tej zajmuje mało ważną pozycję".

Enuncjacja druga — a właściwie wcześniejsza — pochodzi również z Min. Rolnictwa, z przed pół roku. Jest to wykres, stwierdzający oficjalnie, że większa własność — która posiada w Polsce już tylko 17%, ziemi — jednak dostarcza na rynek *przeszło połowę potrzebnego Polsce zboża*. Ściśle — 52%.

Jak te dwie enuncjacje pogodzić?

Gdzie szukać ich wyjaśnienia?

Czyżby tylko w doktrynie antyziemiańskiej, jaką się dziś kieruje ministerstwo najważniejszego w Polsce gospodarczego resortu?

Uparty nurek.

FR. MOLNAR

PECHOWY DZIEŃ

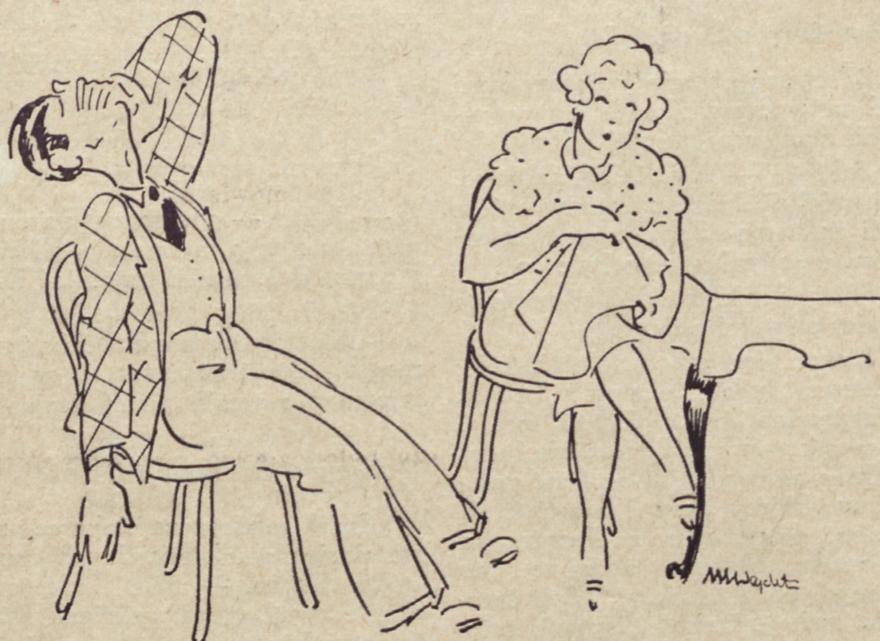
(ilustracje M. Wajchtówny)

(Mąż wraca zmęczony z biura. Wchodzi do jadalni i spogląda na zegarek. Żona siedzi przy stole i szyje).

Mąż: — Dzień dobry, Heleno.

Żona: — Dzień dobry... (dłuższa pauza).





Mąż: — Kiedy będzie obiad?

Żona: — Za pół godziny. Kartofle jeszcze nieugotowane.

Mąż: — Niech diabli porwą tego Bella, który wynalazł kartofle.

Żona: — Co ty wygadujesz? Bell wynalazł nie kartofle, lecz telefon.

Mąż: — No masz ci los! Jak ktoś ma pecha, to już nic nie pomoże.

Żona: — Ach widzę, że coś cię trapi! Zwierz mi się, kochany, ze swoich trosk, może ci to ulży. (Patrzy na niego czule, wstaje i wychodzi z pokoju).

Mąż: — To dopiero pech! Mówi, żebym się jej zwierzył a zostawia mnie samego. (Wzdycha ciężko i chodząc nerwowo po pokoju, zawadza o wielki kryształowy wazon, który spada z hukiem i tłucze się na drobne kawałki). No tak, jak się ma pecha, to trudna rada! (Wchodzi żona). Kochanie, stłukłem wazon! Ale to nie moja wina. Prześladuje mnie dzisiaj okropny pech. (Siada na krześle, które się pod nim załamuje). No, co powiesz na to?

Żona: — Chciałam ci właśnie zwrócić uwagę, że to krzesło jest zepsute. Usiądź na innym.

Mąż: — No tak, to wszystko przez ten dzisiejszy pech. (Siada zrezygnowany na innym krześle). Posłuchaj, a opowiem ci o tym dzisiejszym przeklętym dniu!

Żona: — Słucham cię, mój biedny mężu!

Mąż: — Od samego rana prześladuje mnie ten pech! Wstałem dziś bardzo wcześnie, gdy ty spałaś jeszcze. Przy ubieraniu się, wypadła mi z koszuli spinka. To jest początek tego łańcucha nieszczęść. Szukam tej spinki po całym pokoju, gramolę się pod łóżko, nigdzie ani śladu. Aż wreszcie znajduję tę przeklętą spinkę. Lecz w jaki sposób pechowiec znajduje swoją spinkę? Następuję na nią bosą stopą. Jeszcze teraz boli mnie pięta. Ale słuchaj dalej. Wychodzę



na ulicę, żeby udać się do biura. Czekam przy przystanku na tramwaj.

Nadjeżdża pierwszy tramwaj — przepełniony. Nadjeżdża drugi tramwaj — również pełny. Do trzeciego wreszcie dostałem się jakoś. Konduktor daje mi bilet, chcę zapłacić. Sięgam do kieszeni i okazuje się, że nie mam ani grosza przy duszy. Zapomniałem w domu portmonetki. Wyskakuję w biegu z tramwaju i pędzę do domu. Szukam portmonetki po całym mieszkaniu. Przewracam wszystkie szuflady. Niema jej. Znikła jak kamfora. Krzyczę na służącą. Marysia zaczyna beczeć, słowem robi się krzyk, rwetes, rejwach. Po długich poszukiwaniach, podczas których wywróciłem niechcący miskę z wodą, stłukłem dwie szklanki — znajduję wreszcie portmonetkę. I gdzie ją znajduję? Oczywiście w marynarce, którą noszę, tylko w innej kieszeni.



Lecę na złamanie karku znów na przystanek tramwajowy. „Mam szczęście" myślę sobie, bo widzę, że nadchodzi właśnie mój tramwaj. Przepełniony. Nadjeżdża drugi. Też przepełniony. Wreszcie wsiadam do trzeciego. Nie ujechałem nawet jednego przystanku, patrzę, a tu wszystkie tramwaje stoją. Zabrakło prądu, czy jakaś inna przeszkoda, dość, że nie jedziemy dalej. Wysiadam więc z tramwaju i zaczynam szukać taksówki.

Żona (z roztargnieniem): — Gdzie jest galaretka? Nie mogę jej znaleźć. (Rozgląda się po pokoju i szuka jej).

Mąż: — No i do czego to podobne? Szukasz tej galaretki, wtedy, kiedy ja do ciebie mówię. Czy nie mam dziś wyraźnego pecha?

Żona: — Gdzie ja ją postawiłam do licha?!

Mąż: — A więc proszę cię, wsiadam do pierwszej z brzega taksówki. Podaję szoferowi adres mojego biura i ruszamy. Rozglądam się, czy przypadkiem ktoś nie zostawił w czasie jazdy jakiejś teczki. I wyobraź sobie znajduję portfel! Otwieram go i widzę dziesięć banknotów po 1.000 franków. Ale teraz za to następuje najgorszy pech. Bo oto oprócz banknotów znajduję w portfelu jeszcze kilkanaście wizytówek na nazwisko Hugo Bergbauera, to jest twego brata oczywiście. Raz w życiu mam szczęście i znajduję w taksówce 10.000 franków, to należą one do mego szwagra.

Podaję więc szoferowi adres twego brata i jadę do niego, żeby mu zwrócić jak najprędzej zgubę. Zastaję go oczywiście pogrążonego w rozpaczy. Oddaję mu pieniądze, a on uszczęśliwiony rzuca mi się na szyję.

„Nie wiem doprawdy co bym zrobił — powiada — gdybym nie odnalazł tych 11.000 franków".



„Jakto" mówię do niego „przecież tu jest tylko 10.000 franków".

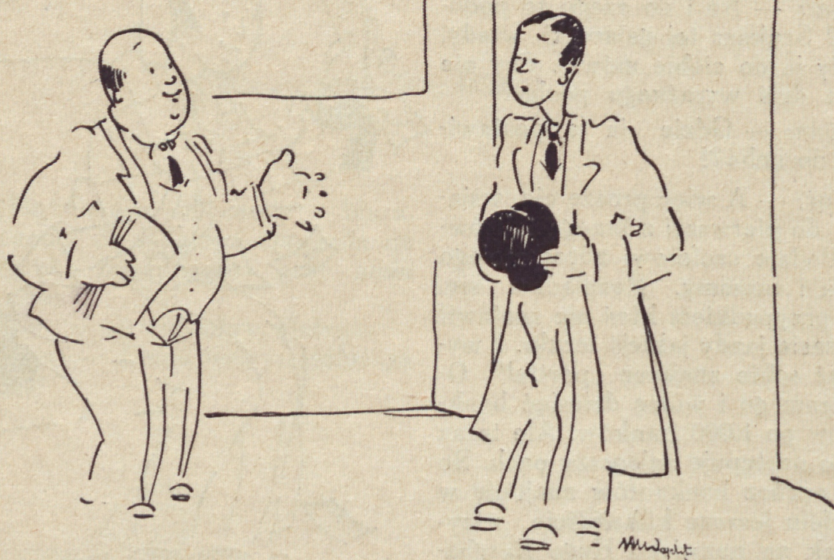
„Dziesięć tysięcy?" zdziwił się „hm, powinno być jedenaście".

Liczymy, okazuje się, że jest tylko dziesięć tysięcy. Zamyślił się chwilę, wreszcie powiada wzruszając ramionami:

„Sam już nie wiem, doprawdy, czy było dziesięć, czy jedenaście tysięcy".

Możesz sobie wyobrazić jaki byłem oburzony. A on uśmiechnął się cierpko i powiada:





— „No, mój drogi, mniejsza o ten papierek. Grunt, że portfel się znalazł. Pal licho ten tysiąc franków! Zawsze lepiej, niż gdybym miał stracić całą sumę".

A ja na to: — „Licz się ze słowami, bo pożałujesz!"

Wściekły i oburzony wybiegam od twego brata, który śmiał mnie posądzić o kradzież. Wsiadam do auta i jadę do biura. Wchodzę... i dziwię się, że tak cicho... czyżby nikogo jeszcze nie było?

„Hallo" pytam woźnego „co to dziś tak pusto?"

A on uśmiecha się i mówi:

„A bo dzisiaj niedziela, proszę pana, więc nikt do pracy nie przyszedł".

Myślałem, że mnie szlag trafi. Słyszałaś już kiedyś coś podobnego? Zapomniałem na śmierć, że dziś niedziela. W drzwiach spotykam szefa. Wita się ze mną i mówi:

„Bardzo ładnie z pańskiej strony, że i w niedzielę przychodzi pan do biura. Pochlebnie to o panu świadczy. Jest pan wyjątkowo pilnym i sumiennym urzędnikiem. Może byłby pan łaskaw, wobec tego, przepisać te dwadzieścia aktów".

Żona (wciąż szukając):— Gdzież ja mogłam postawić tę galaretkę?

Mąż (mówi dalej):— Siedzę więc w biurze i pracuję. W niedzielę. I wszystko przez to moje roztargnienie i mój przeklęty pech! W końcu rozzłoszczony, rzucam wszystko i wychodzę. Kogo spotykam na ulicy? Twego brata. Podchodzi do mnie i powiada z poważną miną:

„Przypominam sobie z całą pewnością, że w portfelu było jedenaście tysięcy franków, a nie dziesięć!"

Mówię mu jakieś świństwo i odwracam się z pogardą, chcąc odejść. A ten łajdak woła jeszcze za mną:

„Czekam na ten tysiąc franków. Wiem doskonale, że przyniesiesz mi te pieniądze z jakimś głupim wytłumaczeniem. Wyrzuty sumienia nie dadzą ci spokoju!"

Biegnę wściekły do domu. Na rogu zatrzymuje mnie niespodzianie szofer taksówki, którą wpierw jechałem.



„Ile dostanę znaleźnego?" pyta mnie, wręczając banknot 1.000-frankowy, który widocznie wypadł w aucie z portfelu.

Daję szoferowi dwadzieścia franków i zaczynam się namyślać co teraz zrobić z tymi pieniędzmi. Jak je zwrócić twemu bratu? Jeżeli sam mu je oddam, to pomyśli, że dręczyły mnie wyrzuty sumienia, jeżeli poślę mu je przez szofera, to tym bardziej będzie to podejrzane. Słowem jestem w prawdziwej rozterce.

Żona (z rezygnacją): — Galaretka już się chyba nie odnajdzie. Zginęła bez śladu.

Mąż (patrzy ze zdziwieniem na żonę).

Żona: — Więc chodźmy do stołu!

Mąż (robi zrozpaczoną minę i nie rusza się, z miejsca).

Żona (gniewnie): — No więc, idziesz, czy nie idziesz?

Mąż (płaczliwie): — Nie mogę wstać... Mam wrażenie, że siedzę właśnie na tej galaretce, której ty szukasz od pół godziny.

Żona (załamuje ręce).

Mąż: — Przez cały czas czułem pod sobą coś mokrego i zimnego. Psiakrew! To nie jest galaretka z nóżek cielęcych. To pewnie galaretka z ryby.

Żona: — Skąd wiesz, że z ryby?

Mąż: — Bo czuję jak mnie ości kłują... No, i czy to nie pech?! Raz w życiu usiadłem na galaretce, to musiała być akurat z ryby i pełna ości!

(Wstaje z trudem. Żona wybiega z pokoju, trzaskając drzwiami).

Przełożył M. Gł.



DR. WOJCIECH JEDLINA-JACOBSON

Z LUDEM WIELKOPOLSKIM PRZECIW ZABORCOM

Czytelnicy nasi pamiętają niezmiernie zajmującą poprzednią ksiażkę dra Jedliny Jacobsona „Z armją Klucka na Paryż". Te wspomnienia polaka, lekarza wojskowego w armji niemieckiej cieszyły się ogromną poczytnością. Obecnie autor wydał jakby dalszy ich ciąg—mianowicie wspomnienia z okresu, gdy na ziemiach polskich w polskiem wojsku walczył wrąz z powstańcami wielkopolskimi przeciwko zaborcom. Są to wspomnienia uważnego uczestnika i świadka wielu wydarzeń doniosłości historycznej. Dr. Jedlina-Jacobson pisze stylem żywym i ujawnia w swych wspomnieniach wiele szczegółów niezmiernie charakterystycznych a szerszemu ogółowi nieznanych. Zamieszczamy poniżej ciekawy fragment z tej książki, dotyczący nastrojów ludności w okolicach frontu i zmiennych kolei losu, którym podlegały niezbędne urządzenia wojskowe techniczne i telefoniczne.

Mój podsłuch zaraportował mi pewnego dnia (było to około 15 stycznia 1919 r.), że na linii Poznań — Bydgoszcz, Gniezno — Poznań, Gniezno—Inowrocław i Gniezno—Szczecin toczą się krótkie, szybkie rozmowy informacyjne w języku niemieckim. Z Gniezna podaje je niejaki D. H. Po naradzie z dyr. Frankowskim zażądałem natychmiast połącznia przez Poznań z dowództwem korpusu w Szczecinie, Gdańsku, Królewcu oraz rejencją w Bydgoszczy — podając się jako ów D. H. W odstępach czasu najwyżej dwuminutowych dostałem po każdorazowym zamówieniu żądane połączenie. W Szczecinie i Bydgoszczy poznano, że głos inny, spytano o hasło—no i spodziewanych instrukcyj nie otrzymałem. W Gdańsku i Królewcu zgłosiły się tylko podrzędne osoby pełniące dyżur, w Szczecinie natomiast podjął słuchawkę sam szef sztabu, a w Bydgoszczy radca rejencyjny.

Kto to w Gnieździe ten D .H.? W toku narady podejrzenie skierowało się przeciw zastępcy dyrektora kolejowego panu H..., którego poleciła mi Rada Ludowa zatrzymać jako wybitnego fachowca w dziedzinie kolejnictwa. Nie zastosowałem się do jej życzenia i p. H... zastąpiłem panem Dancewiczem. — Protegowany Rady Ludowej był Bawarczykiem i katolikiem. Już przed wojną został — podobno za karę — przeniesiony z głębi Niemiec na kresy polskie. Występował on często w obronie uciskanych Polaków i dzięki jego staraniom cofnięto niejednokrotnie podrzędnym urzędnikom Polakom karne przesiedlenia do dalej położonych prowincyj niemieckich. Ów pan H... był jedynym Niemcem, który bywał w kołach rodzin polskich; ufano mu i otwarcie przy nim o wszystkim mówiono — zarówno przed jak też podczas wojny światowej. Nie robiono mu więc żadnych wstrętów także i w czasie powstania.

Przeprowadzona tej samej nocy — po naradach — ścisła rewizja w jego mieszkaniu doprowadziła do wykrycia tajnego telefonu, którego przewody nie szły przez pocztę gnieźnieńską, gdyż na zawezwanie zgłaszała się bzpośrednio centrala w Poznaniu. Dyr. Frankowski twierdził, że wszystkie nadziemne przewody idą przez pocztę, a zatem w danym wypadku musi istnieć tajne połączenie podziemne. Kazałem p. H... natychmiast aresztować.

Teraz dopiero przypomniałem sobie, że przecież wszystkie warownie pruskie są bezpośrednio połączone podziemnymi przewodami już od kilkunastu lat. Starsi robotnicy powinni chyba pamiętać, że Niemcy przeprowadzali takie linie.

Po kilku godzinach zebrano już dostateczne dane*) i odpowiednie patrole wyruszyły koleją na Szubin oraz Inowrocław, by na linii okopów odszukać podziemne przewody niemieckie. Równocześnie wysłałem do naczelnego dowództwa w Poznaniu odpowiedni raport o moich spostrzeżeniach i o przymknięciu pana H... Byłem pewny, że pójdzie on pod sąd wojenny, że czeka go kara śmierci.

Za Inowrocławiem, jak również za Szubinem po głębokim przekopaniu terenu wzdłuż szos — udało się znaleźć podziemne przewody i unieruchomić je przez odpowiednie rozłączenie. Tak samo poprzerywano wszystkie nadziemne przewody — biegnące przez linie bojowe na terenie frontu od Chodzieży po Inowrocław. Zanim jednak zaraportowały mi o tym wysłane kolumny, miałem już zupełnie miarodajną informację o ścisłym wykonaniu przez nie zadania. Z nieco strapioną bowiem miną przyniósł mi osobiście dyr. Frankowski telegram tej treści: „rada ludowa gnesen — jakim prawem uniemożliwia niejaki dr jacobson służbowe rozmowy urzędników z ich władzą w bydgoszczy". Podpis: — nazwisko polskie — kom-n-r-l- linienkomendantur posen (!).

Ku uciesze obecnych ułożyłem następującą odpowiedź telegraficzną: „Kom. N. R. L. Dowódca Linii Kolejowych Poznań. Na zapytanie do wiadomości. Gniezno i okolica od 28 grudnia na stopie wojennej z Niemcami. Dr. Wojciech Jacobson".

W dwa lub trzy dni później — nie wiem czy to właśnie na skutek mego raportu o panu H... — przyszło z Kom. N. R. L. pismo powołujące go na wicedyrektora w poznańskiej dyrekcji kolejowej. Pomimo wniesionego protestu musiałem go zwolnić z mego obozu jeńców. Prawie przez dwa lata pozostał ów „mąż zaufania" Polaków— na swym stanowisku w Poznaniu. Czy dalej nocami składał raporty władzom niemieckim — nie wiem. W każdym razie w Poznaniu umiano ocenić jego zasługi i wykształcenie fachowe lepiej ode mnie!

Jeszcze przed ujawnieniem „roboty" pana H... na terenie Gniezna — zwrócił mi dyr. Dancewicz uwagę na to, że kolejarze Niemcy zajmują się przewożeniem do Rzeszy tajnej poczty drogą Poznań — Krzyż, na której pociągi kursowały regularnie i bez przerw. Ponadto zauważył, że wysyłane z Gniezna do Poznania lokomotywy typu E (podówczas najsilniejsze nasze maszyny) ginęły z terytorium Wielkopolski na linii Poznań — Krzyż, a zamiast nich wracały parowozy starego typu — wymagające jak najprędzej gruntownego remontu.

O tych spostrzeżeniach p. Dancewicza złożyliśmy obszerny raport do Komisariatu N. R. L., jak również do Komendy linij kolejowych oraz do dyrekcji kolei w Poznaniu. Dopiero na wiosnę (o ile się nie mylę, w maju) przeczytałem w ga-

---

*) Informacji owych udzielili Szudarski Karol i Włódarczak Wacław.

zecie, że władzom polskim udało się wykryć nieuczciwe postępowanie urzędników kolejowych, Niemców.

* * *

Pewnej nocy w drugiej połowie stycznia dowiedziałem się, że wszyscy kolejarze Niemcy mają zamiar nagle zaniechać pracy. Natychmiast kazałem przyaresztować w mieście kilkudziesięciu urzędników i sprowadzić ich na plac koszarowy. Musieli stanąć opodal muru.

Kiedy już dosyć długo czekali i dobrze przy tym zmarzli, wyszedłem do nich, trzymając w ręku grubą książkę z biblioteki oficerskiej, która miała pozorować „Wojenny kodeks karny". Oświadczyłem im — stojącym na baczność — iż wiem o zamierzonym strajku i że chyba uświadamiają sobie należycie karygodność takich poczynań. Nie potrzebuję im więc odczytywać odnośnych paragrafów. A zatem:

„Odliczyć do trzech! Dwójki wtył zwrot! Pod mur marsz! W tył zwrot!" — „Jedynki i trójki! O godzinie 10 oczekuję od was raportu, że we wszystkich działach kolejnictwa praca nie dozna przerwy. W przeciwnym razie widzicie waszych kolegów poraz ostatni w życiu! Proszę się spieszyć — możecie ich jeszcze ocalić".

Odliczone jedynki i trójki nie namyślały się długo, lecz popędziły co tchu ku warsztatom i w stronę przedmieścia, gdzie najgęściej mieszkali kolejarze.

Od tej pory nie było już więcej mowy o strajku w Gnieźnie. Nawet sabotaż niemiecki częściowo zniknął. Zresztą i na to znalazła się rada. Nie pozwoliłem wypłacać lub też kazałem obcinać pobory, o ile praca nie była należycie wykonana.

* * *

Wiele kłopotów sprawiała dyr. Frankowskiemu okoliczność, że przewody telefoniczne — zwłaszcza te, które prowadziły ku frontowi — często bywały przerywane i do czasu naprawy trzeba było łączyć się okólnymi drogami. Naprawy dokonywał we własnym zakresie przy pomocy kolumn robotniczych, jakie stawiłem do dyspozycji. — Kiedy pod Obórką w ciągu dnia trzykrotnie przerwano przewody — zabrakło mu cierpliwości i zaraportował mi stan rzeczy. Jasnym było, że nie czynią tego powstańcy ani też ludność polska, która dała ochotnika na front; sprawcami tych uszkodzeń mogą być jedynie koloniści niemieccy.

W przeciągu kilku godzin żandarmeria moja sprowadziła około 30 kolonistów spod Obórki — na plac koszarowy. Zapytani o powód niszczenia drutów, tłumaczyli się, że to nie ich wina, że to chyba gęsi — wracając z wody do zagród — wpadają na przewody i rwą je. Kazałem więc kolonistom pozostać na placu koszarowym i ćwiczyć marsze oraz biegi, by nie marzli. Tymczasem kazałem sprowadzić z ich zagród wszystkie gęsi do koszar i sporządzić dokładną ich ewidencję co do ilości i wagi, a także sprawdzić czyją są własnością. Następnie poleciłem wszystkie sztuki zabić i sprzedać na targu po obowiązującej cenie rynkowej. Handel szedł jak po maśle, gdyż po pierwsze: „dobra gęś nie jest zła" — jak twierdzą filozofowie, a po drugie: był to towar dawno nie widziany na rynku gnieźnieńskim — istny „rarytas" — jako że koloniści bojkotowali nasze targi już od początku grudnia.

Po kilku godzinach każdy z czekających gospodarzy otrzymał pieniądze za swoje gęsi. Na pożegnanie pocieszyłem ich, że nie będą mieli teraz kłopotu z dożywianiem ptactwa, a pan dyrektor poczty z ustawiczną naprawą przewodów telefonicznych. Gdyby przypadkiem dla odmiany — pomysł rwania drutów lub obalania słupów telegraficznych wpadł do łba jakiejś... krowie — to musiałbym tak samo całą rogaciznę skazać na śmierć! Niech więc lepiej sami na swoje bydło uważają! Zrozumieli mój żart i odetchnąwszy z ulgą — opuścili cało i zdrowo teren koszar. Od tej pory już więcej żadne „zwierzęta domowe" nie psuły drutów ani humoru kochanemu dyrektorowi.

* * *

Miałem do czynienia — osobiście — z jednym jeszcze wypadkiem zrywania przewodów telefonicznych na froncie. Było to jesienią 1919 r. — w jakieś 14 dni po zdobyciu Bobrujska. Leżeliśmy w miejscowości Berezino, zamieszkałej prawie wyłącznie przez Żydów. Nie potrzebuję udowadniać, że na każdym kroku sprzyjali bolszewikom. Połączenia telefoniczne z dywizją w Bobrujsku — zarówno nasze jak i artylerji rwały się już drugą noc, pomimo, że nie ostrzeliwano nas tak jak naszych poprzedników, których zluzowaliśmy.

Nad ranem zwołałem na łączkę za wioską całą gminę żydowską obojga płci od 10 — 80 lat. Jeden z moich sanitariuszy trzymał gruby i długi sznur w ręku, a ja oznajmiłem zebranym, że jutro powiesi się dziesięciu z nich, pojutrze dalszych dziesięciu i tak codziennie tę samą liczbę — najpierw mężczyzn, później kobiety. Taki mam rozkaz. — „Jesteśmy Poznaniaki — zwani przez was „germańskie wojsko" — wiecie chyba że germany „akuratnie" wykonują rokazy" — mówiłem.

Kiedy krzyk i lament przycichł trochę — wytłumaczyłem Żydom, że powodem takiego rozkazu jest okoliczność, że bolszewickie szpiegi niszczą w ciągu nocy urządzenia telefoniczne. W rękach tubylców leży możność uratowania życia tylu niewinnych osób. Jeżeli będą co noc czuwać wzdłuż przewodów i druty nie ulegną zerwaniu, to będę mógł prosić dowództwo o odwołanie egzekucji.

Odtąd przez długi czas telefoniści w dywizji wiedli spokojne życie ku niemałemu zdumieniu gen Konarzewskiego, który poprzednio był już poważnie zaniepokojony trudnościami utrzymania stałych połączeń z linią.



Wspaniała wstęga nowej autostrady i imponujący ruch autobusowy

MARJAN ARTEMSKI

AUTOSTRADY TRZECIEJ RZESZY

GENEZA

Kiedy Hitler i Partia Narodowo-socjalistyczna objęli władzę — w Rzeszy Niemieckiej było 8 milionów bezrobotnych.

Jasnym jest więc, że przed przystąpieniem do jakichkolwiek prac przebudowy społecznej czy politycznej, należało najpierw dać pracę bezrobotnym, a conajmniej wytworzyć odpowiednie warunki psychologiczne: nadziei na otrzymanie zajęcia przez zniechęcone i wygłodzone masy.

Stąd koncepcja budowy wielkiej sieci autostrad, jako najlepszego i najbardziej celowego wykorzystania nie znajdujących ujścia sił.

Oczywiście, że w dalszych opracowaniach, poważne znaczenie miały potrzeby wojskowe, gospodarcze, a dalej czynnik propagandy i tym podobne.

Nieposlednią też rolę odegrała chęć pozostawienia po sobie — dla potomności śladu, który znacznie przewyższałby budowle, powstające w wyniku interesów kapitalistycznych. Dewiza: „wielkość teraźniejszości—mierzyć się będzie według wartości wiecznych, jakie po sobie zostawimy" — powtarzana przy każdej inauguracji większego przedsięwzięcia, — w tym wypadku specjalnie znalazła odzwierciedlenie. Czynnik dumy również. Potwierdzają to słowa Fűrera: „Po wykonaniu planu rozbudowy autostrad — Niemcy posiadać będą nowoczesną sieć dróg, potężny pomnik pokojowego postępu".

TEMPO PRAC

W kilka dni po objęciu władzy — w roku 1933 na berlińskiej Wystawie Samochodowej,— Hitler obwieścił wolę Rządu Rzeszy popierania budowy wielkich arterji komunikacyjnych.

W następstwie, już 17 maja ogłoszono gotowy plan budowy dróg. Prace organizacyjne i przygotowawcze poszły szybko: 23.IX. 34 r. na odcinku Frankfurt n/M. — Darmstadt, Kanclerz wykonał pierwsze uderzenie szpadla.

W 3 miesiące później, w pełnym toku prowadzono roboty na ogólnej długości 1000 km.

Mniej więcej w rok od pierwszych kroków, w Monachium otworzono wystawę drogową, jako ilustrację planów, osiągnięć i warunków pracy przy budowie autostrad.

23.IX.36, a więc w trzy lata po inauguracji robót, wykonano ponad 1000 km. najbardziej nowoczesnych arterji komunikacyjnych.

Cyfry dotyczące autostrad na koniec roku 1936 obejmują:

3.827 km. rozplanowanych i wyznaczonych,

2.158 km w budowie,

1.363 km z wykonaną już nawierzchnią,

308 km w pełnym użyciu.

Rezultaty te osiągnięto przy: dokonaniu zleceń handlowych na 1.208,6 milionów Rm, pracy 117.187 robotników, 47.9 milionach dni roboczych i efektywnie wydanych 931 milionach Rm.

ZATRUDNIENIE I WARUNKI PRACY.

Budowa autostrad pozwoliła Niemcom zatrudnić setki tysięcy robotników najrozmaitszych zawodów. Pracę znaleźli nietylko zajęci bezpośrednio przy budowie. Dodatnie reperkusje przejawiły się we wszystkich niemal dziedzinach produkcji. To też z przedsięwzięcia uczyniono symbol odbudowy Trzeciej Rzeszy.

Jednak pociągnęło to za sobą ogrom nowych zadań.

A więc: organizacja sił roboczych, unormowanie pracy, ustalenie stawek wynagrodzenia i zorganizowanie wolnego czasu robotników.

Prace rozpoczęto w dużej ilości punktów Państwa, dopuszczając udział maszyn w ograniczonym tylko zakresie.

Płace unormowano przez zastosowanie taryfy ze stawkami minimalnymi.

Dla uwzględnienia warunków terenowych w różnych okręgach stworzono różne taryfy płac, czyli tak zwaną taryfę przestrzeniową. Zasadniczo nie wolno przekraczać płacy taryfowej jednakże za pomocą szeregu ułatwień, warunki pracy robotnika kształtowały się coraz pomyślniej a dochody zwiększały. Z czasem zastosowano też system premii za wydajność. Poza-

tym zarekrutowani otrzymali ubiór roboczy, spłacając drobnymi sumami tylko połowę jego kosztu.

ZADANIA INŻYNIERÓW.

Władze niemieckie wyszły z założenia, że z budową autostrad łączy się wielkie zagadnienie wogóle zużycia narastających sił narodu i jak najściślejszego zjednoczenia ich w wysiłku pracy.

To też na inżynierów — obok odpowiedzialności ściśle technicznej włożono specjalne zadanie społeczno-polityczne.

Robotnicy przyszli do nowego dzieła z różnych zawodów i przeważnie po długich okresach bezrobocia, to też w pierwszym rzędzie zadaniem inżynierów było właściwe zakwalifikowanie robotników, oraz wytworzenie nastroju entuzjazmu i koleżeństwa pracy, którego rezultatem miała być większa wydajność.

Inżynier również musiał wpoić w robotników przekonanie, że budowa pomnikowych autostrad stała się nowym sensem życia i że temu dziełu poświęcić należy nietylko siły mięśni, ale i wszystkie najlepsze wartości duchowe.

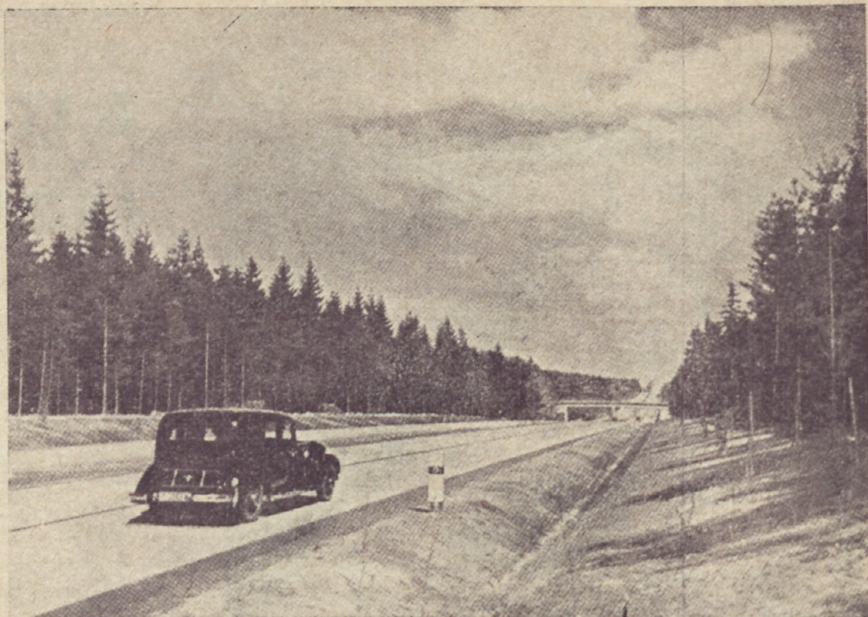
„MECHANIKA ZIEMNA"

Naczelne kierownictwo robót uznało, że nie należy polegać wyłącznie na wiedzy fachowej swych inżynierów.

Wychodząc ze słusznego założenia, że przy wielkich przedsięwzięciach, współpracować winny najtęższe umysły, do dzieła planowania wciągnięto wszystkich wybitnych fachowców - teoretyków i praktyków — z dziedziny budowy dróg. Poświęcono wiele czasu na doświadczenia laboratoryjne, usiłując uchwycić możliwie wszystkie okoliczności i wypadki niszczenia kosztownych dróg.

Główną uwagę poświęcono zagadnieniu zniszczeń, wywoływanych przez zmiany temperatury, a w pierwszym rzędzie przez mrozy. W pomoc przyszły tu wieloletnie badania i doświadczenia szwedzkie i amerykańskie. W wyniku na odcinkach, idących w setki kilometrów, usunięto miejscowe podłoże całkowicie, zastępując je wysokowartościowym żwirem i piaskiem. Dalej, zastosowano dokładny drenaż oraz warstwy izolujące od otoczenia.

Nauka niemiecka jest bardzo praktyczna. To też ten dział znalazł sobie natychmiast w niej prawo obywatelstwa. *Na wyższych uczelniach stworzono katedry, prowadząc prace przy pomocy samodzielnych badań oraz przez wymianę doświadczeń z krajami północy i z Ameryką.*



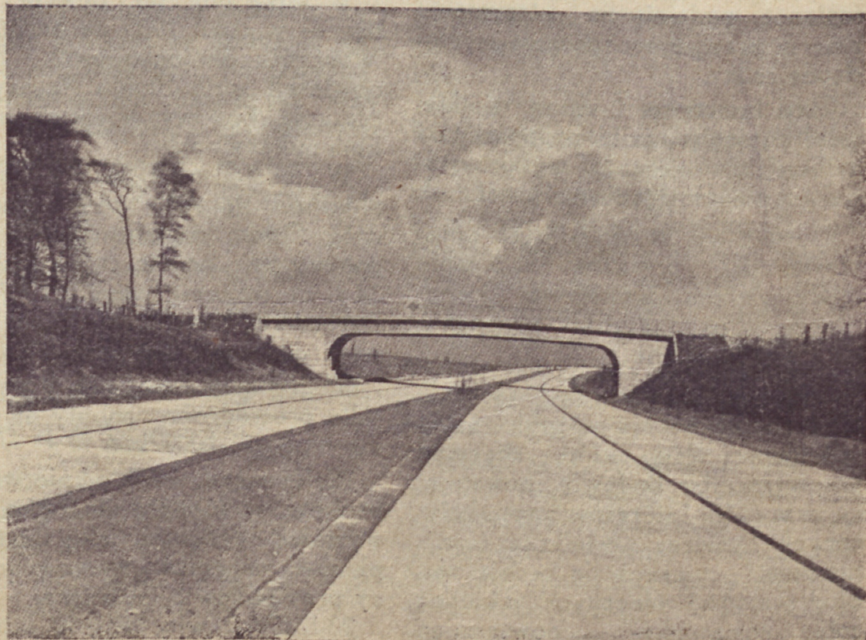
Nowoczesna autostrada nie psuje pejzażu, lecz przeciwnie, doskonale z nim harmonizuje.

DANE TECHNICZNE.

Każda autostrada składa się z dwóch torów jezdnych o szerokości 7.5 metra, podzielonych pasami zieleni o szerokości 3,5 lub 5 m. Każdy z torów jezdnych obramowany jest dwoma pasami zieleni, które od strony zewnętrznej mają 1 metr szerokości, zaś od strony wewnętrznej — 0,4 m.

Nawierzchnia jako najważniejsza część autostrady, wykonana jest przy uwzględnieniu przyszłej

Przejścia dla pieszych skonstruowane ponad autostradą mają tak obmyślony zarys, aby nigdy nie zasłaniały widoku automobiliście



Z ROYAL ACADEMY W LONDYNIE

Dowiadujemy się z Londynu, że w Royal Academy wystawiony został portret wojewody Jaroszewicza, pendzla S. Norblina.

Podkreślić należy, że Royal Academy jest instytucją artystyczną niezwykle ekskluzywną, przechowującą z pietyzmem wspaniałe wiekowe tradycje malarstwa angielskiego. Przyjmuje ona na swe wystawy tylko dzieła wysokiej klasy i zasadniczo bardzo rzadko wystawia prace artystów cudzoziemców.

O ile nam wiadomo, dzieła artystów polaków dotychczas na wystawach Royal Academy nie figurowały.

Wystawienie w Royal Academy dzieła Stefana Norblina stanowi więc nietylko sukces osobisty artysty, ale ma również duże znaczenie propagandowe dla sztuki polskiej, zbyt mało dotąd znanej w Anglji.



S. Norblin *Portret wojewody Jaroszewicza*

(dok art. z kol. 10-ej)
maksymalnej rozbudowy komunikacji osobowej i ciężarowej.

Dla umożliwienia wysokich szybkości, powierzchnia jezdna jest idealnie wyrównana lecz posiada szorstkość, zabezpieczającą przed ześlizgiem przy hamowaniu lub na wirażach. W wyniku licznych doświadczeń, zastosowano nawierzchnię betonową lub brukowaną. W już wybudowanych — nawierzchnie betonowe stanowią 90%.

Grubość nawierzchni betonowej wynosi normalnie 20 cm., przyczym na gruntach niepewnych oraz na świeżo usypanych — wzrasta.

ESTETYKA AUTOSTRAD.

Przy budowie autostrad, zwrócono dużą uwagę na ich stronę estetyczną i harmonijne dostosowanie do pejzażu, a więc do terenów górzystych, łąk, pól, lasów i dolin.

Przy wysadzaniu, stosuje się wyłącznie drzewa i krzewy miejscowe, nie wymagające interwencji hodowcy czy to ze względu na klimat czy też glebę. W ten sposób spada koszt utrzymania, a pozatem uzyskuje się zupełne dostosowanie do obrazu okolicy.

Druga sprawa — to estetyka w szerszym zakresie. Rozumie się pod tym fakt, że przyszłe miasta, osady i wsie posiadać będą ukształtowanie zależne od charakteru autostrady.

Stąd wymagania, aby inżynierowie łączyli wymagania techniczne z potrzebami estetyki.

OGÓLNOPOLSKI CHARAKTER
„DNI KRAKOWA"



Podczas „Dni Krakowa" od 27 maja do 20 czerwca pod arkadami Bramy Florjańskiej studenci Akademji Sztuk Pięknych urządzają wystawę i targ swych prac, cieszących się wielkim powodzeniem

Urządzane w roku zeszłym po raz pierwszy obchody, koncerty widowiska, w okresie t. zw. „Dni Krakowa", jakkolwiek miały charakter niejako próbny, wykazały, iż Kraków, — jak żadne inne miasto w Polsce — nadaje się do urządzania festivali artystycznych na wielką miarę. Piękne zabytki Krakowa, jego pamiątkowe budynki, cała atmosfera „starego grodu", w tym czasie niezwykle ożywionego — stanowi o nastroju przybyłych turystów. Dziedzińce zamkowe i pałacowe, dziedzińce starych budynków, a wreszcie ulice same — są jakby wielkim, wspaniałym teatrem dla wielkich festivali. Położenie Krakowa blisko granicy, stanowi moment zachęcający dla przyjeżdżających turystów z zagranicy.

Komitet Obywatelski „Dni Krakowa" zdając sobie w pełni sprawę z tej roli reprezentacyjnej, do której powołany jest Kraków, będący sceną całej Polski,—stara się o program o charakterze ogólnopolskim, z udziałem czynników artystycznych całego kraju.

Pozyskano dla występów w Krakowie, wielką orkiestrę symfoniczną Polskiego Radia. Jestto dziś najpoważniejszy i największy zespół orkiestralny (100 osób). Z uwagi na swój wysoki poziom artystyczny, orkiestra symfoniczna Polskiego Radia, stanowi atrakcję na miarę europejską. Da ona w tym roku trzy wielke koncerty, z których dwa poświęcone będą muzyce polskiej i obejmą częściowo utwory dotąd nigdzie niewykonywane, trzeci koncert poświęcony będzie najcelniejszym dziełom muzyki obcej. Ponadto jeden koncert poświęcony będzie w całości pa-



Piękno Krakowa—Sukiennice i Rynek, w głębi stara wieża z zegarem

mięci ś. p. Karola Szymanowskiego.

„Dni Krakowa" będą miały także „dzień pieśni polskiej". Zjadą się wszystkie chóry zorganizowane w województwie krakowskim, które zapraszają na zjazd chóry sąsiednich województw, a przedewszystkiem znakomite chóry województwa śląskiego.

Wielki monstre-koncert zjednoczonych chórów zgromadzi więc conajmniej 2000 śpiewaków na estradzie. W programie znajdzie się między innymi utwór Marjana Rudnickiego „Hej, Ty Wisło"! W dziale teatralnym Komitet Obywatelski zabiega o to, aby teatr krakowski wystąpił w zespole powiększonym, przez udział artystów miejscowych.

Wielkie widowisko H. Morstina p. t. „Kopernik", w reżyserji Dyr. Frycza wymagać będzie obsady około 300 osób, dla których przygotowuje się bogate kostjumy. Jest to pierwszy krok zamierzonej szerokiej współpracy z zespołami teatralnymi, poza krakowskim.



Barwne średniowieczne stroje halabardników harmonizują ze starymi murami miasta

Osobną pozycję w programie „Dni Krakowa" zajmuje pokaz p. t. „Lud Polski w muzyce, tańcu i śpiewie". Zgłosiło już udział szereg Związków Teatrów ludowych, między innymi zespoły z Wielkopolski, Wileńskiego, Lubelskiego, Małopolski Wschodniej, Wołynia, Śląska i t. d. Pokaz połączony będzie równocześnie z konkursem tańców ludowych grup nizinnych i zajmie w programie 4 — 5 dni.

CO JEST CYWILIZACJĄ (c) A CO JEST KULTURĄ (k)

C.: Jeśli potrąciwszy kogoś „mówimy: „Przepraszam najmocniej".
K.: Jeśli nie potrącamy nikogo.
C.: Znać kilka języków.
K.: Językiem ojczystym dobrze władać.
C.: Uczenie mówić.
K.: Mądrze słuchać.
C.: Żonie oddawać pierwszeństwo — ale
K.: Również w domu.
C.: Przed zbadaniem lekarskim brać kąpiel.
K.: Czynić to codzień dla siebie.
C.: Czytać ostatnie nowości.
K.: Znać również klasyków.
C.: Kochać własną ojczyznę.
K.: Nie znieważać ojczyzny innych.
C.: Czcić głęboko swoją religię.
K.: Nie nawracać pogan ogniem i mieczem.
C.: Mieć własną bibliotekę.
K.: Książki z tej biblioteki również czytać.
C.: Gromadzić dla dzieci pieniądze.
K.: Dobrze je wychowywać.
C.: W samochodzie rozjeżdżać po świecie.
K.: Wędrować i patrzeć.
C.: Przed sądem mówić prawdę.
K.: Czynić to i poza tym.
C.: Spóźnioną odpowiedź na list umotywować obszernie brakiem czasu i t. p.
K.: Natychmiast odpowiedzieć.
K.: Chorych przestępców pielęgnować — i
C.: Potem ścinać im głowy.
C.: Tego rodzaju rzeczy dla każdego zrozumiałe — pisywać.
K.: Samemu do nich się stosować.

M. GŁ.

Minister Spr. Wojskowych Gen. Dyw. T. Kasprzycki

Przewodniczącym Komitetu Honorowego Uroczystości 20-lecia Armji Polskiej we Francji.

Dn. 13 b. m. Pan minister Spraw Wojskowych Gen. Dyw. Tadeusz Kasprzycki udzielił posłuchania Delegacji Głównego Stowarzyszenia Weteranów b. Armji Polskiej we Francji w osobach Przewodniczącego Min. Pełn. Józefa Wielowieyskiego i Sekretarza Generalnego por. rez. Czesława Uhmy.

Delegacja prosiła Pana Ministra o przyjęcie godności Przewodniczącego Honorowego Komitetu Uroczystości 20-lecia Armii Polskiej we Francji, które odbędą się dnia 4, 5 i 6 czerwca r. b. w Warszawie.

Pan Minister przyjął tę godność i przyrzekł delegacji Swój udział w uroczystościach, oraz przedstawicieli Armii Czynnej, Oficerów i Podoficerów służby czynnej, którzy przeszli przez szeregi Armii Polskiej we Francji, oraz delegacyj pułków powstałych z b. pułków Armii Polskiej we Francji.

CZARODZIEJKA NA LODZIE

„Jedna na miljon" nazywa się śliczny film z Sonią Henie w roli głównej. Raz przynajmniej reklamiarze „branżowi" nietylko nie przesolili, ale nawet w swej reklamie nie dosolili. Bo to wcale nie jest „jedna na miljon". To jest poprostu jedna — na cały świat.

Sonia Henie jest zjawiskiem zupełnie wyjątkowem. Łączy w sposób niezrównany wspaniałe opanowanie techniczne swego ulubionego sportu z gracją póz urodzonej tancerki i osobistym wdziękiem czarującej kobietki. Na lodowiskach całego świata od lat jedenastu była stale największą atrakcją, ściągającą zawsze nieprzeliczone tłumy. Na zawodach była bezapelacyjną mistrzynią świata, której rzemyka od łyżew nie są godne rozwiązać nawet najlepsze jej rywalki. Bo jeżeli nawet którejkolwiek z nich udało się kiedyś dorównać Soni w pokonywaniu technicznych trudności klasycznego łyżwiarstwa — to żadna nawet w przybliżeniu nie osiągnęła jej powiewności ruchów, jej piękna pozy i muzycznej płynności gestu.

Stało się naprawdę doskonale, że Hollywood, jak się to mówić zwykło „porwało" Sonię dla filmu. W ten sposób nietylko umożliwi się dziesiątkom miljonów ludzi zobaczenie tego jedynego w swoim rodzaju zjawiska — ale ponadto utrwali się samo zjawisko ku niewątpliwej korzyści przyszłych łyżwiarek i ku radości oczu wszystkich tych, którzy kiedyś zapragną sobie przypomnieć, jak wyglądał kunszt Soni gdy była w pełni sławy.

Film „Jedna na miljon" jest zrobiony dobrze — bo umiejętnie wyzyskuje wszystkie możliwości pokazania Soni na tafli lodowej a jednocześnie stwarza dla niej odpowiednie tło przez wątek prosty ale zabawny i przez doskonałą obsadę.

Sonia jako córka skromnego hotelarza szwajcarskiego wyrasta w ciągu akcji na łyżwiarską mistrzynię świata. Jakie się z tem łączą perypetje, jakich cudów pomysłowości i szalbierstw dokonywa Adolphe Menjou (świetny w roli komicznej) jako kierownik śpiewaczo - tanecznego zgłodniałego zespołu, jak Sonia uzyskuje mistrzostwo, jak je traci przez nieporozumienie i znowu odzyskuje — to wszystko jest nawet w swej bezpretensjonalności zupełnie zajmujące. Jednak film ten zachwyca i wzrusza — tak, nawet wzrusza — dopiero wtedy, kiedy wszyscy inni znikają z ekranu, a pozostaje na tafli lodowej czarodziejka, która wydaje się stworzeniem nierozerwalnie i tajemniczo złączonem z tym odrębnym elementem natury, jakim jest lód.

Jak jaskółka beztrosko, radośnie, świergocąc wzbija się i opada w powietrzu, jak ryba miękko i sprężyście pruje fale strumienia — zupełnie tak samo Sonia stapia się z żywiołem lodowym, na nim uzyskuje pełnię swego wyrazu, i ujawnia swoją fenomenalną odrębność. Kiedy uśmiechnięta, lekko czubkami łyżew dotykając tafli lodowej, wbiega na gładką, lśniącą powierzchnię, płynnym ruchem zatacza nieopisanie harmonijne kręgi, wiruje, tańczy, to znowu płynie — wydaje się to wszystko tak łatwe i naturalne, jakgdyby każdy to potrafił. Łyżwiarz oceni jednak dokładnie, ile w tem jest zdumiewającej techniki, a każdy człowiek wrażliwy na piękno zrozumie natychmiast, że patrzy naprawdę na wielką w swoim rodzaju artystkę.



Sonia Henie w filmie „Jedna na miljon"

I chociaż Hollywood, jak zwykle, postarało się odrazu o zbanalizowanie zewnętrznej aparycji Soni, chociaż już ją niepotrzebnie ucharakteryzowano na piękność, choć zbrutalizowano jej zabawny pyszczek ze szpiczastą, dowcipną bródką, wązkiemi szpareczkami wiecznie wesołych szelmowskich oczu i rozbrajającymi dołeczkami w policzkach — mimo to jednak nie odebrano Soni jej wrodzonego wdzięku, który przebija i poprzez nadmiernie jaskrawą charakteryzację.

Jeżeli z twarzy Soni zrobiono już w Hollywood standaryzowaną maskę, z jasnych włosów banalną w mnóstwo loków pozwijaną perukę — to piękna jej linji, harmonji jej ruchów i niedościgłego jej kunsztu łyżwiarskiego i tanecznego nikt jej nie odbierze. W tę dziedzinę nie wtrącał się reżyser ani charakteryzator i tu Sonia pozostała sobą. To znaczy niezdetronizowaną królową lodu. *Z. N. Ch.*

WŁODZIMIERZ ŁUKASIK

GEOGRAFIA NA CODZIEŃ

Przed paru tygodniami gazety podały odbitkę listu jednej z firm angielskich, adresowanego do Polski, gdzie czarno na białym stało wypisane POLAND — S. S. S. R. — EUROPE. Przemyślni Anglicy dodali — Europe, słusznie mniemając, że ta część Związku Sowieckiego nie leży już w Azji. Podniósł się słuszny głos oburzenia przeciw dumnym synom Albionu, którzy nigdy nie zaglądali do atlasu i sprawa ucichła. My jednak postanowiliśmy wywlec ją ponownie na forum publiczne, z innej nieco strony i w innym oświetleniu. Postanowiliśmy mianowicie pokazać jak wygląda Europa w pojęciu przeciętnego Polaka.

Oto wynik długich i mozolnych badań:

ANGLIA.

Anglia jest wyspą, zamieszkałą przez tubylców, którzy produkują węgiel i często chorują. Zawsze dobrze ubrani. Flegmatyczni. Część Anglików, t. zw. Szkoci — skąpi do obrzydliwości, noszą spódnice w kratę. Były król angielski, czyli książę Walji i pani Simpson. Miłość silniejsza niż śmierć. Miasta: Londyn i polski Manchester, czyli angielska Łódź. W Londynie mieszkał Sherlock Holmes — tajny detektyw.

BUŁGARIA.

Państwo. Kościół bałkański. Ciągłe rewolucje i zamieszki. Poza tym bardzo niespokojnie. Ustawiczne bunty wojskowe. Miast prawie nie ma. Same góry i góry, na których górale pasą swe trzody. Z trzód tych wyrabiają potem smaczne sery i ciepłe kożuszki do kawy.

DANIA.

Leży na północy. Często używa się także nazwy Norwegia. Śniegi i lodowce. Bardzo zimno.

FRANCJA.

Siostrzyca. Francuzi są bardzo weseli, lubią wino i kobiety. Paryż, ah, Paryż! Szampańskie miasto. Jedwabne pończochy, jakich w Polsce nie dostanie — różne pudry i specyfiki, szerokie czteroosobowe łóżka. Szampańskie kobietki i wspaniałe nocne lokale. Pożyczka francuska. Obecnie rządzą komuści, ale to już, panie, nie długo potrwa. Francuzi nie mają dzieci, muszą je nabywać zagranicą.

GRECJA.

Grecy zimą produkują chałwę, bardzo smaczną, zwłaszcza tę z orzechami, latem robią lody. Są przebiegli. Słabo mówią po grecku i piszą żydowskimi literami. Wyrabiają również kolumny do teatrów i kin. Chodzą lekko ubrani, bo gorąco. Wina greckie są słabe, robione z rodzynków. W kraju kwitnie pasterstwo i drzewa oliwne, z których wyrabia się oliwę do szprotek.

ITALIA.

W Italii mieszkają różni Włosi, papież i Mussolini. Włosi jadają makaron i są czarni. Mają południowy temperament i lubią śpiewać na ulicy piosenkę p. t. „La donna jest mobile". We Włoszech rosną palmy t. zw. akademickie, którymi mieszkańcy przyozdabiają swe kapelusze. Część Włochów stanowią kobiety, czyli włoszki, podobne do Hiszpanek — tylko większe. Italia ma kształt buta, ta buta ułatwiła Włochom podbój Abisynii. We Włoszech jest bardzo ładnie.

NIEMCY.

Hitler wypędził Żydów, a potem zabrakło masła. Masło zastąpiono sztucznym kauczukiem, ale Żydów nie udało się zastąpić. Wszyscy dorośli Niemcy należą do jednego obozu politycznego — kanclerza Hitlera, młodzi do obozów pracy, a mniejszości do obozów izolacyjnych. Niemcy są flegmatyczni i lubią piwo. Mają duże brzuchy, na których zaciskają pasa. Wszystko w Niemczech jest ciężkie.

NORWEGIA.

Zwana także Danią, tylko, że we właściwej Norwegii jest jeszcze zimniej i więcej lodowców. Mieszkańcy kopią dziury w śniegu i tam sypiają przez całą noc, która w Norwegii trwa półtrzecia roku. Norwegowie noszą stale ciepłą bieliznę i niedźwiedzie futra, włosem na wierzch. Często chuchają w ręce.

PORTUGALIA.

W Portugalii są ciągłe rewolucje, rozruchy i bunty, jak w Meksyku. Mieszkańcy noszą chustki na głowach i hodują kanarki, które wyrastają tam do wielkości małego psa.

RUMUNIA.

W Rumunii jest wiele bogactw naturanych, z których mieszkańcy wyrabiają koszyki i wino. W Rumunii nie jest zbyt ciepło, ale nie jest też i zimno. Umiarkowany klimat wpływa na zachowanie ładnej cery. Rumunia jest bardzo miłym krajem.

SZWECJA.

Szwedzi robią zapałki i dobre interesy. Mają głowę na karku. Dużo sypiają, zwłaszcza w nocy. Polacy walczyli ze Szwedami dwukrotnie, raz w XVII wieku — przegraliśmy, drugi raz w 1935 r. wygraliśmy 5 : 2. Szwecja jest też bardzo ładna.

WĘGRY.

Na Węgrzech mieszkają cyganie, którzy grają czardasze w restauracji na wyspie św. Małgorzaty w Budapeszcie. Węgrzy jadają ostre potrawy i piją potem dużo węgierskiego wina, nie w butelkach tylko t. zw. pusztach.

Z. S. R. R.

Sami bolszewicy. Przymierają głodem i od czasu do czasu rozstrzeliwują kontrrewolucjonistów. Na nogach noszą bambosze, na głowach papachy. Lubią wódkę i tłuczenie luster. W Rosji panuje bieda i Stalin. Rosja jest bardzo duża.

ZMARTWIENIA DYPLOMATÓW

POWIEŚĆ

Jeszcze w dni pogodne, w godzinach popołudniowych zdarzało się, że jakaś parka na rowerach zapędziła się aż tu z Hagi, ale rzadkie to były wypadki, bo wiatr północny był tak silny, że przewracał rower z jeźdźcem.

Częściej zajrzał tu samochód, wyciągnął po bulwarze wzdłuż plaży swoje sześćdziesiąt na godzinę i zjeżdżał pospiesznie w dół — do miasta.

Gdy zapadł zmrok, mało gdzie się świeciło. Tylko jeden domek oświetlony był ponętnie — restauracyjka *Jonge Doelen* — mała, przytulna, z gabinetami utrzymywana na plaży — na wszelki wypadek — nawet w zimie.

W istocie było tak, że miała ona powodzenie właśnie tylko w zimie. W lecie każdy dążył do wielkich hoteli, szykownych, zbytkownych, gdzie grały świetne orkiestry, gdzie elegancki tłum kobiet wabił oko. W *Jonge Doelen* były pustki. Zato w zimie stolika wolnego nie można było dostać. Tu się przyjeżdżało na ciche *rendez-vous incognito*, zakład bowiem miał kilka wejść bardzo dyskretną służbę, loże i oddzielne pokoiki. Żadnych orkiestr, żadnego dancingu, jedynie doskonałe radio w holu, głośne na cały zakład, świetny kucharz, zasobna piwnica, co dzień świeże ostrygi i homary.

Nina oprowadzała Kazimierza — po całej Holandji. Papa Cornelius zajęty był interesami, jak zawsze, i często wyjeżdżał, a Willy chciał być dyskretnym i nie przeszkadzać parze narzeczonych.

Dziś przyszła kolej na *Jonge Doelen*. Nina była podniecona.

Musi mu wyznać dziś wszystko. Tydzień cały już są razem, bardzo szczęśliwi, całowali się już na mostach łukowch nad kanałami Delftu i pod cichemi krużgankami starej Lejdy i w dancingach gwarnego Rotterdamu i wśród cieplarni Harlemu, a zdarzało im cię czasem oblecieć te miasta samochodem jednego dnia, — lecz Nina ciągle nie decydowała się by mu wypowiedzieć wszystko.

Pragnęła pieszczotami zapewnić go, że ma jej miłość, bo może przyjdzie taka chwila, że będzie miał podstawy by wątpić w to.

Tak jej żal było, że te czarujące dni miną i prysną, że stracą w jednej chwili woń i barwę, że ona musi jednak zadać ból sobie i Kazimierzowi.

Gdy zakąski ułagodziły ich zdrowy apetyt, Nina poczuła odwagę, by teraz wyznać mu...

Zim wyczuł, że Ninę rozsadza jakaś tajemnica. Dotąd nie pytał, bo sam był pełen winy. Nie powiedział jej nic o listach otrzymanych, o zaproszeniach na odczyty po całym świecie. Dlaczego? Sam nie wie. Coś go zawsze wstrzymywało, jakiś głos niesłyszalny mówił mu — zamilcz.

— Nino, czy ty iesteś ze mną szczera?

— Skąd to pytanie?

— Bo ja nie jestem szczery.

— Okłamujesz mnie?

— O, nie! Niema mowy o okłamywaniu. I nawet trudno powiedzieć, bym coś zatajał. Nie. Wszystko o sobie powiem ci w swoim czasie. Ale właśnie to — „w swoim czasie" jest już przewiną moją. Bo ja myślę o tem — powiedzieć ci czy nie... Gdy się jest zupełnie szczerym, mówi się blizkiej sobie istocie nie tylko wszystko, ale zaraz, tak jak myśl biegnie. Dlaczego jestem taki względem ciebie — nie wiem. Czy za mało jeszcze zżyliśmy się z sobą, czy taka jest wogóle natura moja, której nie uważałem za potrzebne zmienić, czy to pochodzi z dość długiego stanu kawalerstwa i z mojego kompleksu samotniczego, bo w istocie — jestem samotnikiem — nie wiem. Dość, że tak jest. I teraz oto — masz przykład. Już tydzień cały jsteśmy razem, mówimy o wszystkiem, przestajemy z sobą cały dzień, jesteśmy przeważnie sami, bez świadków, a ja nie powiedziałem ci najważniejszego.

— Nie, Casimir, mylisz się, to nie jest nieszczerość, ani to nie jest żadna wina twoja, ani nie trzeba się z tego poprawiać. Wszystko musi być powiedziane we właściwym czasie. I dlatego ludzie ostrożni, przezorni, do jakich ty należysz i ja — wyznają to co wyznać mają — w czasie właściwym. To jest właśnie dowodem ich siły, że potrafią milczeć, a słowo puszczają w obieg wówczas, gdy trzeba.

Kazimierz był zachwycony.

— Imponujesz mi, Nino. Mówisz tak dobrze, dojrzale, po prostu — mądrze, że mam wrażenie, iż słucham — własnego głosu.

Zaśmiał się z siebie i z swojego żartu.

— Ach ty zarozumialcze, — oburzała się rozkosznie Nina. — Ale czy ty nie uważasz wogóle, że ja wyinteligentniałam od czasu kiedy przestałam się uważać za mądrą.

— Ależ ty wypowiadasz cudowne dowcipy i paradoksy, Nino, jestem tobą oczarowany.

— Byłoby beznadziejnie, gdyby było inaczej. Pomyśl, przez kilka miesiący przestawałam ciągle z Willym, który — przyznasz — jest bardzo mądry, prawie tak jak ty, no — i z papą. Jestem przekonana, że ty nie doceniasz papy. Bardzo doświadczony człowiek i szalenie dobry. Ma kolosalne stosunki w całym świecie. Czy wiesz co mi powiedział?... Tylko nie zdradź się, że wiesz to odemnie. On ci sam to powie, gdy znajdzie chwilę właściwą. Skoro tylko wróci teraz z Londynu — — —

— To papa jest w Londynie?

— Nie wiedziałeś?

— Wyjeżdżając mówił mi, że jedzie do Brukselli.

— Tak, ale z Brukselli dał już depeszę, że jedzie do Londynu.

Niewiadomo dlaczego przypomniał sobie teraz Zim Sullivana, jadącego do Londynu na ważną konferencję.

Mało to ludzi jeździ do Londynu!

Nina zgubiła myśl.

— Co to ja chciałam powiedzieć?

— Mówiłaś, że papa coś mi powie ciekawego, gdy wróci.

— Aha! Czy wiesz, że to on tak się przejął waszą

akcją, całą waszą ideologją, że zabrał się do studjów i postanowił wyprowadzić cię na szeroką wodę...

— Mnie?

— No tak, jako swego przyszłego zięcia. Ach, Boże, jak się to wszystko komplikuje. Właśnie o tem muszę z tobą pomówić, bo i ja dopuściłam się podłości, Casimir, i ja coś ukrywałam przed tobą.

— Mów, mów, po kolei... Naprzód co papa ma mi powiedzieć?

— Że porobił po różnych krajach starania przez swoje stosunki, by cię zaproszono na prelekcje przez uniwerytety, organizacje kulturalne, społeczne, partje polityczne...

Zim o mało nie skoczył:

— Stój, stój, przestań, nie mów przez chwilę, bo muszę dech złapać...

— Co tobie jest?

— Otworzyłaś drzwi do stu tajemnic, jakie się z tem łączą.

— Co to znaczy?

— Zaraz, zaraz, po kolei. A więc on! Wiedziałem tylko tyle, że jest w tem czyjaś ręka, jakaś ukryta sprężyna, ale jaka, tego i w tej chwili jeszcze nie wiem...

— O czem ty mówisz?... Nic nie rozumiem.

— Zaraz ci wszystko wytłumaczę, ale teraz powiedz mi, czy papa nie wspomniał wypadkiem, że się spotyka czasem z Sullivanem.

— Zdaje mi się nawet, że spodziewał się spotkać go w Brukselli.

— Nie, w Londynie. I dlatego tam pojechał.

— Skąd wiesz?

— Nie wiem napewno, ale jest taki zbieg okoliczności, że spotkałem w pociągu Sullivana jadącego do Londynu.

— Ale co ma Sullivan do tego, że papa stara się o odczyty dla ciebie.

— Może nic, a może wiele. To się okaże. To bardzo ważne. Bo jeżeli tak, to znaczy, że nadchodzi moment niebezpiecznej próby.

— Nie mów zagadkami Casimir.

— Kiedyś ci to wyjaśnię, gdy sam już będę pewny. Ale teraz pilno mi podzielić się z tobą tą wiadomością, którą ukrywałem, a właściwie tylko odkładałem na później. Teraz już wszystko wiesz.

— Nic nie wiem.

— Sama powiedziałaś.

— Nic nie rozumiem.

— Właśnie to ci miałem powiedzieć, że otrzymałem szereg zaproszeń z kilku krajów z całego świata, bardzo zaszczytnych, na prelekcje, z czego wnosiłem, że cały świat zainteresował się naszą ideą dostosowania ustroju socjalnego do praw niezłomnych, a tymczasem źródło tego zainteresowania jest jedno i to tak blizko.

— Przepraszam cię, Casimir, ale mam wrażenie, że źle oceniasz. Źródło może tymczasem być jedno, tak jak wy dwaj, czy wogóle bardzo małe wasze grono jest siedliskiem olbrzymiego nurtu społecznego. Ale przecież największa rzeka świata zaczyna się od małego źródełka. Przecież papa sam tego nie spowodował, tylko przez jakąś światową organizację.

— Teraz domyślam się przez jaką.

— Jaką?...

— Czy papa należy do jakiejś, no — powiedzmy — partji...

— Do katolickiej. Ale że sam jest skończonym liberałem, więc Willy nie ma wielkiego przekonania co do szczerości ideowej papy.

— Teraz jest jasne.

— Mów, bo to ciekawe.

— Że twój papa jest delegowany do partji katolickiej od tego bractwa, któremu właściwie służy, które zwalcza Chrystusa, które jest istotnie potężne i które mnie teraz poddaje próbie.

— Jakto, poddaje próbie?

— Ha, ha, przecież to jasne! To co się stało w Kopenhadze, to była maleńka próbka. Tam się tylko dowiedzieli, że coś wielkiego rodzi się na świecie i że to ma siłę dynamiczną o niesłychanej potędze twórczej. „Oni" to zrozumieli, ale chcą mieć tego dowody. Więc sami organizują mi propagandę taką drogą, żebym się nie zorjentował w grze. Okoliczności naszego stosunku, już teraz prawie rodzinnego, fenomenalnie im to ułatwiły, kryjąc jednocześnie grę w sposób a la *Scotland Yard*. Rozumują bardzo trafnie. Jeżeli moja propaganda chwyci, to będą mieli dowód, że nasza idea zatryumfuje i wówczas niezwłocznie przypuszczą szturm, by wślizgnąć się do nas i narzucić nam swoje osoby i ich wpływy w celu pozbawienia świata etyki chrześcijańskiej, która ciężkiem wydaje się brzemieniem wszystkim materjalistom. Jeżeli zaś występy moje przejdą bez echa, to machną na nas ręką i więcej się nami zajmować nie będą. Nawet nie będą się starali nas zniszczyć.

Nina pomyślała o dymisji Kazimierza.

Zim — o katastrofie samochodowej.

— Poczekaj, Casimir. Tylko papa wróci, ja się wszystkiego dowiem. On dziwnie wszystko wygaduje przede mną. Tak jakby głośno myślał w obecności kochanej inteligentnej gęsi. Jeżeli się zobaczy w Londynie z Sullivanem, to będę wiedziała. Bo ja to w takiej formie robię, że interesuję się, gdzie był, co jadł, z kim był w teatrze i t. p. A coś ty odpowiedział na te zaproszenia? Pojedziesz?

(D. c. n.)

„LUTNIA" NA ZIEMIACH POLSKICH

Wobec zbliżającego się terminu 50-lecia „Lutni" Warszawskiej, której jubileusz uroczyście obchodzony będzie w Filharmonji dn. 6 maja r. b., warto przypomnieć, że „Lutnia", otrzymała w ciągu 50-u lat swego istnienia liczne zaproszenia z prowincji, koncertowała w różnych miejscowościach kraju na cele społeczne i kulturalno-oświatowe. Wędrówki swoje „Lutnia" rozpoczęła od wotywy w kaplicy Matki Boskiej na Jasnej Górze w Częstochowie 1888 roku — dając wieczorem koncert dla szerszej publiczności na dochód Straży Ogniowej ochotniczej. Dalsze wycieczki w okresie pierwszego 10-lecia odbyły się do Płocka — 1888 r. i 1893 r., do Kielc — 1889 r. i 1890 r., 1896 r., do Radomia — 1890 r. i 1892 r., do Łodzi — 1891 r., do Piotrkowa — 1891 r., do Wocławka — 1891 r. i 1896 r., do Kalisza — 1893 r.

W miejscowościach tych zawiązały się pierwsze ośrodki samodzielnych Towarzystw Śpiewaczych.

Dochody z koncertów przeznaczane były całkowicie na cele dobroczynne, społeczne i użyteczności publicznej — z jednoczesnym złożeniem przez członków „Lutni" pewnej ofiary w gotówce na wymienione cele.

W następnych okresach swej działalności artystycznej „Lutnia" koncertowała w wielu innych miastach i zakątkach kraju — jak w Żyrardowie, Skierniewicach, Łowiczu, Kutnie, Sosnowcu, Zawierciu, Ozorkowie, Sochaczewie, Łomży, Urlach, Ciechocinku, Ciechanowie, Konstancinie, Skolimowie, Mławie, Wyszkowie, Nasielsku, Milanówku, i innych, wracając nieraz do danej miejscowości wielokrotnie.

Na specjalną uwagę zasługuje wycieczka do Lublina, dokąd na udanie się nie można było przez długi czas uzyskać zezwolenia władz zaborczych, które uważały ziemie, położone za Wisłą na wschód za tereny „rdzennie rosyjskie".

Oprócz wycieczek po kraju — „Lutnia" wyjeżdżała za granicę do Pragi Czeskiej w 1911 r. na uroczystość 50-lecia najstarszego czeskiego Towarzystwa Śpiewaczego „Hlahol" w Pradze — oraz do Krakowa i Lwowa w 1913 r.

Wycieczka „Lutni" do Krakowa i Lwowa posiadała specyficzny charakter.

Dla zmylenia czujności władz zaborczych Lutniści małymi grupkami i różnymi szlakami przedostawali się poza kordon graniczny do Krakowa, gdzie dano koncert, a następnie do zamierzonego punktu zbornego we Lwowie, gdzie odbył się Zjazd Ogólny Towarzystw Śpiewaczych pod egidą 50-lecia obchodu powstania 1863 roku.

Wyjazd „Lutni" Warszawskiej do Lwowa był dowodem zapału członków, którzy pomimo osobistej odpowiedzialności i ewentualnych dochodzeń władz, stawili się w liczbie 60 osób na wspomnianej uroczystości.

Było to jedyne Towarzystwo Śpiewacze, które przybyło w tak licznym zespole i reprezentowało stolicę podczas tego znamiennego obchodu we Lwowie.

ŚWIAT TEATRU

TEATR LETNI
„Adam i Ewa", komedja Liebela



Daczyński i Gellówna — *fot. J. Malarski*



Z. Lindorfówna i Skonieczny — *fot. J. Malarski*

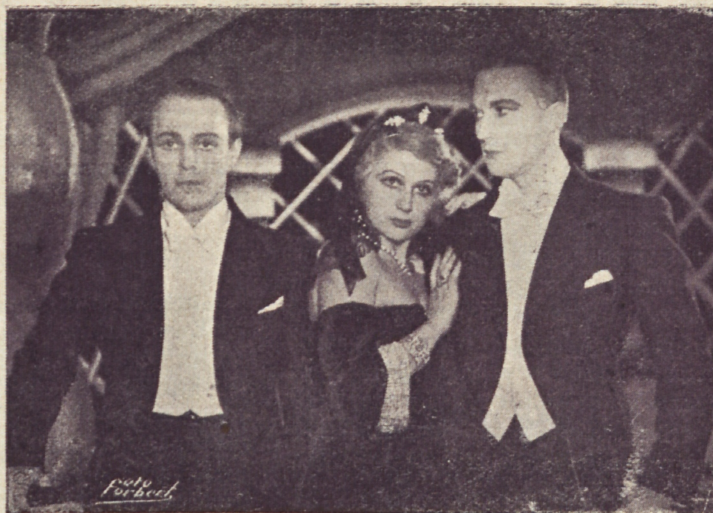
„Wiktoria i jej huzar", operetka w trzech aktach z prolog'em Pawła Abrahama, inscenizacji i reżyserji Witolda Zdzitowieckiego, dekoracje L. Wiecheckiego, kierownictwo muzyczne Alfreda Schütza, tańce układu E. Rada.

Wypełniona do ostatniego miejsca salka teatru „8.15" jest najlepszym dowodem przywiązania publiczności warszawskiej do melodyjnej operetki, której zwycięski powrót na deski sceniczne powinien być nowym bodźcem dla kierownictwa miłego teatrzyku do dalszego doskonalenia zespołu i konsekwentnego i starannego doboru repertuaru. Od poprzedniej premiery w teatrze na Śniadeckich znać solidną i uczciwą pracę całego zespołu dla podniesienia poziomu przedstawienia i usprawiedliwienia ogromnego powodzenia, jakim się ów miły przybytek lekkiej muzyki cieszy.

Wznowienie melodyjnej operetki Abrahama było posunięciem szczęśliwym. Szereg nowych pomysłów inscenizacyjnych, sprawna reżyseria i staranna praca całego zespołu stworzyły ze znanej operetki widowisko tętniące życiem, rozszalałe tańcem, pełne humoru i werwy. Szampański nastrój świetnej zabawy pokrywa nieliczne drobne usterki przedstawienia, a sympatyczni aktorzy nagradzani są przez wdzięczną publiczność rzęsistymi oklaskami.

Wyróżnić należy niebanalne dekoracje Wiecheckiego, troskliwy dobór kostiumów i bogactwo przepysznych strojów, które z wdziękiem demonstrują czołowe gwiazdy operetki. Przy wartkim tempie przedstawienia i starannej reżyserii Zdzitowieckiego zgrany zespół teatru porwał publiczność w wir beztroskiej zabawy.

Znakomitą Wiktorią była Mary Didur - Załuska. Jej czysty, piękny głos o nieskazitelnej barwie i szerokiej skali wypełniał salę, zdumiewał świetną techniką śpiewu, nienaganną dykcją i inteligencją interpretacji. Piękne toalety podkreślały efektowną aparycję p. Didur - Załuskiej, a niezaprzeczony talent aktorski, zżycie się ze sceną i prostota gry zjednały jej całkowite uznanie. Liczne miłe melodie, odśpiewane z uczuciem i temperamentem zmuszały piękną gwiazdę do ciągłego bisowania. Jej huzar— Witold Conti — wywiązał się z roli bez zarzutu. Młody ten aktor czyni stałe postępy. Brak obycia ze sceną i pewna sztywność z czasów „Zakochanej królowej" znikły — zdaje się — bezpowrotnie. Staranna praca nad miłym, świeżym głosem, dała nadspodziewanie dobre wyniki. Ciepła barwa przy czystym, pełnym brzmieniu, właściwe frazowanie i ciekawa interpretacja piosenek wróżą p. Conti'emu dużą przyszłość. Jeszcze trochę wysiłku nad doszlifowaniem górnych rejestrów i pewnym stuszowaniem drobnych usterek aktorskich, a kariera na deskach operetki zapewniona.



Mary Didur-Załuska, Witold Conti i Jerzy Olgierd, w operetce „Wiktorja i jej huzar" na scenie teatru „8.15"

Stronę choreograficzną reprezentowali Loda Halama i Zbyszek Rakowiecki. Wrodzony talent taneczny, żywiołowy temperament i humor Lody Halamy, umiejętnie wyzyskany przez reżyserię stworzył warunki, w których znakomita tancerka zbierała niemilknące brawa widowni, zachwycając subtelną techniką i zdolnościami aktorskimi, zadziwiając szerokością skali możliwości tanecznych, bawiąc swym beztroskim, urwisowskim humorem. Dzielnie jej sekundował, niespeszony sławą partnerki, Zbyszek Rakowiecki. Młodzieńczy temperament, ogromny wdzięk i prostota, muszą zjednać sympatycznemu aktorowi uznanie publiczności. P. Rakowiecki czuje się na scenie świetnie, szczerze bawi się swą własną rolą i grą partnerów, z niewymuszoną prostotą i radością tańczy. Pewne niedociągnięcia techniczne w tańcu p. Rakowieckiego istnieją, — przyznajmy nawet, że jest ich sporo, — ale to nie jest ważne. Miły tancerz idzie naprzód, konsekwentnie rozwija swój talent, a że robi to z niewymuszonym wdziękiem i z wrodzonym dobrym humorem śmieje się z własnych błędów, przeto zawsze będzie na scenie miłym urozmaiceniem, koniecznym enfant terrible.

Nina Czerska świeżym głosikiem i zgrabną figurką nie bez wdzięku kokietowała widownię. Władysław Walter, jako ordynans Janezy okrasił swą rolę dobrodusznym humorem. Jerzy Olgierd grał dużo szczerzej niż w programie poprzednim, umiejętnie prezentując swe nieprzeciętne warunki zewnętrzne.

Orkiestra pod sprężystym kierownictwem Alfreda Schütza właściwie podkreśliła piękno muzyki Abrahama. Tańce zespołowe były natomiast na poziomie zbyt prymitywnym.

W sumie mamy widowisko bezwzględnie udane, na którym publiczność bawi się świetnie.

J.

CZY PANI WIE, ŻE...

...nadchodzi pora wyjazdów na wieś — czas pomyśleć o urządzeniu tarasu czy nawet prowizorycznej werandy. Można sobie poprostu uszyć spuszczany na rolce daszek z nieprzemakalnego płótna, który w razie potrzeby zwijać będziemy, jak sklepową żaluzję. Nawet ogromny parasol ogrodowy zastąpi często werandę — tylko płótno musi być nieprzemakalne, aby można było korzystać z powietrza nawet podczas deszczu.

Jak „unieprzemakalnić“ zwykłe płótno tanim kosztem w domu?

Oto przepis francuski, który radzę wypróbować.

Zrobić następującą mieszaninę: pół litra terpentyny, trzy ćwierci litra oleju lnianego przegotowanego, trochę czerwonej minji i maleńką ilość farby zwanej umbra palona. Obu kolorów brać niewiele, aby płyn nie był ciemny, lecz miał odcień jasnej herbaty zaledwie.

Zmieszawszy doskonale płyn i farby, tak aby żadnych gruzełków nie było, nakładać szerokim pendzlem tę mieszaninę na płótno, które chcemy uczynić nieprzemakalnem. Pozostawić do przeschnięcia na tydzień. Po tygodniu tym samym pendzlem nakładać warstwę oleju lnianego przegotowanego. Zostawić do wyschnięcia na dwa tygodnie. Tkanina zrobi się żółtawo - bronzowa jak żagle łodzi rybackich — i żaden deszcz jej już nie przeniknie.

■

„..praktyczna pani domu wie, że stylowe meble i drogie firanki tracą na wyglądzie, jeżeli posadzki w mieszkaniu będą zaniedbane. Chąc nadać posadzkom olśniewający połysk, każda pani używa znakomitego, łatwego i wydajnego w użyciu, PŁYNNEGO WOSKU wyrobu firmy DOBROLIN.

■

...w Paryżu w obecnym sezonie fantazja i pomysłowość artystów rozpętały się w dziedzinie mody w sposób niebywały. Na sukniach widzimy ozdoby ze szkła, aplikacje ze skóry matowej i lakierowanej, kwiaty, kokardki ze słomy. Jedwabie deseniowe mają motywy najbardziej nieoczekiwane: nietylko kwiaty, jak dawniej, ale ptaki, motyle, imiona gwiazd filmowych, całe sentencje.

Naprzykład jeden z modeli największego domu mody ozdobiony jest przy szyi i wzdłuż prostego kantu, spływającego środkiem przodu sukni od szyi do stóp, szlakiem, gdzie białym sutaszem wyszyte są słowa: je vous aime je vous aime je vous aime je vous aime.

Rękawiczki stały się przedmiotem specjalnej uwagi. Do sukien letnich lansowane są rękawiczki z tiulu, z wyhaftowanym na wierzchu ręki kolorowym kwiatem lub motylem, dobranym do motywu sukni. Na kapeluszach całe koszyczki kwiatów. Na prostym canotier przypięta z fantazją... jaskółka.

Słowem — pomysłowość, humor, wiosna i nastrój beztroski. Wszystko w przewidywaniu olbrzymiego sukcesu i zjazdu, jakiego Paryż oczekuje podczas wielkiej wystwy.

■

...narówni z elegancką suknią, każda wytworna pani ceni piękną i ślicznie wypraną bieliznę. Dlatego też używa do prania doskonałego mydła Franciszka Jaworowskiego w Warszawie, tel. 11-36-54. Do nabycia we wszystkich lepszych mydlarniach i składach aptecznych.

Dama Pikowa.

Kurs „Urządzamy kwietniki“.

Koło Miłośników Ogrodnictwa urządza w dniach 5 — 12 maja r. b. Kurs „Urządzamy kwietniki“. Kurs odbywać się będzie w godzinach wieczornych od godz. 6 — 8 wiecz. w sali Tow. Ogrod. Warsz. Bagatela 3 co drugi dzień. Prelegentami będą: p. Inż. St. Schönfeld, p. Maria Gruberska i p. inż. St. Krawczyński. Na zakończenie Kursu odbędzie się praktyczne ćwiczenie obsadzania kwietników oraz wycieczka do szklarni miejskich. **Ilość miejsc ograniczona.**

Informacje i zapisy: Biuro K. M. O. Al. Jerozolimskie 20 m. 16 tel. 632-70. Kierowniczka Kursu p. Wysocka — tel. 840-18, Skład Nasion B-ci Chomicz — Zgoda 8 oraz w dniu rozpoczęcia wykładów na miejscu — Bagatela 3 (Tow. Ogrodn. Warsz. — I piętro).

Z ŻAŁOBNEJ KARTY



Ś. p. z Ostaszewskich Helena Kozłowska

W dniu 14 stycznia 1937 roku, o godz. 1 po południu rozstała się z tym światem najukochańsza żona i siostra ś. p. z Ostaszewskich Helena Kozowska, wielka artystka, prof. Konserwatorjum klasy śpiewu w Toruniu.

Wielce muzykalna, posiadała piękny głos. Na koncertach w Filharmonji Warszawskiej, Konserwatorjum i salach koncertowych, zyskiwała entuzjastyczne przyjęcie słuchaczy i b. pochlebną krytykę prasy. Jako prof. Konserwatorjum zyskała wielkie uznanie u kolegów, jako niepospolita profesorka śpiewu, miłość swych uczennic i uczni.

Cicha, spokojna, zrównoważona, kochająca dom i rodzinę, szła przez życie z pieśnią na ustach, dobrocią w sercu i wzniosłymi myślami o Bogu, który dał Jej lekką śmierć, pokrywając ciężką żałobą męża i brata, oraz rodzinę i wszystkich Jej życzliwych.

Cześć Jej świetlanej pamięci.

Cieniom Heleny Ostaszewskiej-Kozłowskiej, pieśniarki.

Śpij cicho... Już wicher życia nie
szumi nad Tobą
Śpij! snem przedwczesnym, pokryłaś żałobą
Serca bliskich i dalekich Tobie,
Śpij! Kwiaty więdną na Twym
świeżym grobie.
Śpij! o śpij cicho! by trzepot skrzydełek
Któremi ptaszę o Twój grób uderzy,
Lub płatek śniegu, co na kamień
padnie...
Nie obudził Harmonji — co na dnie
Zimnych kamieni, spoczęła przedwcześnie,
Z pieśnią przeżyłaś i odeszłaś w
pieśni!
Pieśniarko Wielka — w wieczny
sen rzucona
Poszłaś w zaświaty.....
Żadna piosenka już Cię nie obudzi
Twa dusza wzlata jak Anioł skrzydlaty —
W Niebios przestworza błękitu,
I czeka świtu... niebieskiego świtu!
Na odgłos trąby archanielskiej w
Niebie,
Duch Twój świetlany w szumie
pieśni wzlata!
A Ty przewodząc chórowi Bożemu
Jesteś tam w szczęściu... bogata!...

S. Szermetowa.

Książki nadesłane do Redakcji

Jan Mazur. — Z wysokik Tater waterny sum. Poezje. Wyd. Książnica - Atlas. Lwów — Warszawa.

Eugeniusz Szermentowski. — Karierowicz. Wyd. Wł. Michalak i S-ka. Warszawa 1937.

H. Strassburger.—Sprawa Gdańska. Wyd. Klubu Społeczno-Politycznego. Warszawa 1937.

W. Jedlina - Jacobson. — Z ludem polskim przeciw zaborcom. Nakł. autora. Toruń 1937.

F. Dziuba.—Postęp. Poezje. Wyd. Krzyżanowskiego. Kraków 1937.

E. Żytomirski.—Pierwsze przykazanie. Poezje. Wyd. Ferd. Hoesick. Warszawa 1937.

A. Sienkiewicz. — Z Marsem na ty. Wyd. Grajter. Warszawa 1937.

R. Popielewski. — Świat ssaków. Wyd. Książnica - Atlas. Lwów — Warszawa 1937.



Gene Raymond w swej pięknej posiadłości, na porannym spacerze w parku

„Krew na morzu" Roma

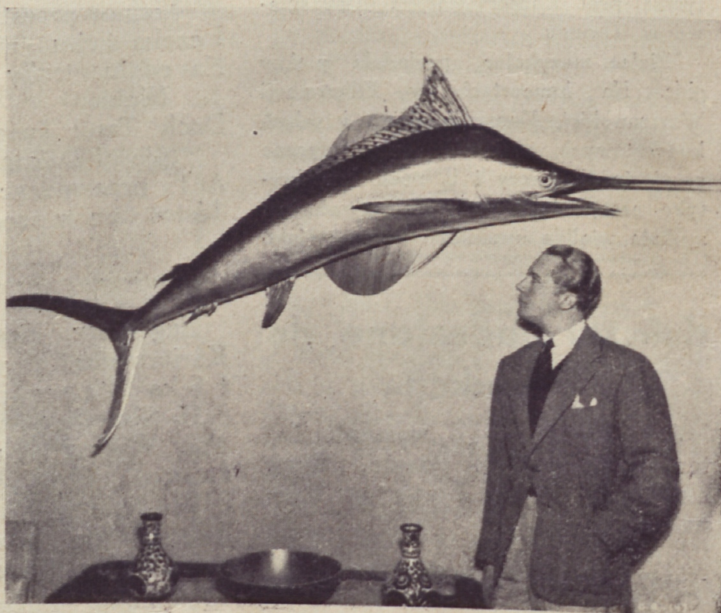
Bezkresne morze, zajmujące poczesne miejsce w literaturze całego świata, było oddawna wdzięcznym tematem dla scenarzystów filmowych. Kapryśny potężny żywioł, walczący raz po raz groźnymi burzami z ujarzmiającym go człowiekiem stał się terenem wielu zmagań mocarnych flot całego świata. Dla propagandy morza i życia jego ludzi, zakutych w pancerną stal nowoczesnych pływających fortec, francuskie ministerstwo marynarki opracowało szereg filmów, realizowanych przez prywatne wytwórnie z wyraźną współpracą oficerów marynarki.

„Krew na morzu" jest jednym z serii tych obrazów, filmem zrobionym dobrze, wiernie odtwarzającym pełne trudów i codziennego bohaterskiego życia marynarzy jednostek wojennych. Interesująca fabuła zaciekawia widza, a pełne dramatycznego napięcia sceny batalistyczno-morskie, przykuwają jego uwagę.

Scenariusz wybrany dość przypadkowo posiada pewne niejasności i luki i daje pozór sztucznego doczepienia do właściwej akcji morskiej sensacyjnych scenek. Po niezdecydowanych scenach początkowych, obfitujących w liczne usterki i luki film trafia na właściwy tor. Tok rozwoju akcji staje się coraz szybszy, coraz bardziej pasjonujący, aby wreszcie wybuchnąć w ogromnym napięciu dramatycznym w porywających realizmem scenach w zatopionej łodzi podwodnej.

Komendantem groźnego „Neptuna" jest Harry Baur, znakomity tragik francuski, słynny przez swe ostatnie kreacje w „Czarnych o-





Mimo ciężkiej pracy w studio Gene Raymond znajduje czas na eskapady łowieckie. Na zdjęciu widzimy go na tle trofeów w hallu jego pięknego domu. Fot. R. K. O. Radio

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Warszawa, ul. Szpitalna 12. Telefon 5-04-00. Konto w P.K.O. Nr. 3755
Administracja otwarta codziennie z wyjątkiem świąt niedziel od godziny 11 do 3 pp.
Redakcja od godziny 11 — 2 pp. Redaktor naczelny przyjmuje w czwartki od godz. 11 — 1 pp., tylko po uprzednim porozumieni u się z sekretarjatem. Telefon 2-10-87. **Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca**

F I L M U

czach" i „Wielkiej miłości Beethovena". Harry Baur brutalny niemal w prawdzie ekspresji, jeden z największych aktorów filmowych, wziął na swe barki cały ciężar filmu. Ogromną skalę możliwości aktorskich, cały arsenał znakomitych gierek włożył Harry Baur w trudną i odpowiedzialną rolę komendanta podmorskiego statku. Rola ta w wykonaniu znakomitego aktora rozrosła się, nabrała prawdy życia, przysłoniła potężnym cieniem wszystkie usterki filmu, porwała za sobą współodtwórców i pociągnęła ich na niedostępne wyżyny prawdy artystycznej. Harry Baur — dobroduszny zwierzchnik - przyjaciel, Harry Baur — podejrzliwy zazdrosny mąż, Harry Baur—prawy i nieustępliwy żołnierz i oficer — to były zupełnie różne postaci. Każda z nich miała swe własne oblicze artystyczne, każda była tym jedynym właściwym wcieleniem, każda miała ogromną rzeczywistość ekspresji i prawdę przeżycia. A że reżyseria scen dramatycznych stanęła na wysokości zadania, że szereg skrótów filmowych, migawek, szczegółów był wybrany trafnie i oświetlony właściwie — to też cała część obrazu rozgrywająca się na morzu zasługuje na całkowite uznanie. Dobrze wybrany zespół wykonawców dalszoplanowych podkreślał i uwypuklał dramatyczny nastrój obrazu. Świetne typy marynarskie, lapidarnie rzucone na ekran przeżywały podmorską tragedię, ufne w swego komendanta i nadzieję ocalenia.

J.



Znany śpiewak i aktor Nelson Eddy— partner Jeanette MacDonald w szeregu filmów Fot. M. G. M.



Jeanette MacDonald, jako zapobiegliwa gosposia, szykuje lunch dla męża, którym jest znany aktor filmowy Gene Raymond Fot. M. G. M.

ŚWIAT FILMU



Przemiły „home“ — w którym mieszka urocza para blondynów — Gene Raymond i jego żona Jeanette MacDonald Fot. R. K. O. Radio

Blond-stars

Blondyni nie są fotogeniczni, blondyni są nieciekawi. Blondynki są wyzbyte sex-appealu... a jednak do najsławniejszych gwiazd filmowych należy „czysto blond“ trójka gwiazd Hollywoodu: rasowy, męski Gene Raymond, piękna Jeanette MacDonald i słynny śpiewak i aktor Nelson Eddy.

Paniom pierwszeństwo... więc Jeanette MacDonald: zasłynęła w „Paradzie miłości“, potem szły filmy „Wesoła wdówka“, „Kapryśna Marietta“, „Rose Marie“. Niedawno widzieliśmy ją w „San Francisco“.

Tyle film. W życiu jest szczęśliwą żoną Gene Raymonda. Oboje blond, oboje młodzi, w pełni sławy. I w trakcie miodowych miesięcy. Hollywood, zawistna, złośliwa stolica filmu — nic im zarzucić nie może, i co najważniejsze — nie chce. Podbił wszystkich wdzięk tej czarującej pary, która jeszcze nigdy w filmie razem nie grała.

Gene Raymond jest z pochodzenia kanadyjczykiem — półkrwi Anglik, półkrwi Francuz. Jest bardzo opanowany, — i lubi dom. Na zdjęciach zamieszczonych obok widać Raymonda na tle starego home'u jego rodziców, gdzie przez krótki czas mieszkali młodzi państwo Raymond.

Upodobania młodych w dużej mierze zbiegły się ze sobą, gdyż i Jeanette MacDonald jest domatorką i zawołaną gospodynią.

W Hollywood trudno jednak być dobrą żoną. Praca, tempo, plotki...

Ale choć jest i „ten trzeci“ to na szczęście tylko w filmie. Jest nim Nelson Eddy.

Parę tę widzieliśmy już razem w „Kapryśnej Mariecie“, w „Rose Marie“, obecnie ujrzymy ich w melodyjnym, romantycznym filmie „Gdy pachną bzy“. Jeanette Mac Donald, Gene Raymond, Nelson Eddy, to trio „blond stars“, które zawojowało swym wdziękiem świat.

Sened

Kariera Deanny Durbin — nowej sławy Hollywoodu

...Jest takie małe miasteczko w Kanadzie o dźwięcznej nazwie Winnipeg. Tam właśnie ujrzała światło dzienne Deanna Durbin, najsłynniejsza dziś w Ameryce artystka filmowa.

Modziutkie to stworzenie (Deanna Durbin liczy zaledwie 15 lat) jest już popularną gwiazdą ekranu amerykańskiego.

Początki kariery dzisiejszej sławy Hollywoodu datują się jeszcze z okresu dziecięcych chórów w szkole. Nauczycielka śpiewu zwróciła wówczas uwagę ojcu Deanny, że powinien zainteresować się bardziej jej głosem. Przyjęto tedy nauczyciela śpiewu. Efekt nie dał na siebie długo czekać: Deanna została zaangażowana do „Eddie Cantors Radio hour“, czyli do słynnego zespołu komika fimowego, Eddie Cantora, mającego swe audycje w radio. Jak wiadomo radiostacje amerykańskie nie są instytucjami publicznymi, ale należą do przedsiębiorstw prywatnych i dlatego ich kierownictwa prześcigają się wzajemnie w oryginalnym doborze programu radiowego. Wielkie broadcastingi angażują tedy częstokroć słynnych aktorów filmowych. Eddie Cantor uzyskał w Deannie Durbin wielką atrakcję dla swojej „godziny radiowej“. Jej śliczny, srebrny sopran podobał się radiosłuchaczom całej Ameryki. W ciągu jednego miesiąca Deanna stała się sensacją w U. S. A.

Właśnie w tym samym czasie wytwórnia New Uniwersal zaangażowała reżyserów europejskich — Hermana Kosterlitza i Joe Pasternaka, celem nakręcenia w Ameryce komedii muzycznej „Penny“. Do filmu „Penny“ potrzebna była bohaterka. Kosterlitz i Pasternak zdecydowali się szybko: mała Deanna zagra tę rolę.

W ten sposób mała dziewczynka z Winnipeg dostała się na ekran. Dziś imię Deanny Durbin notowane jest na giełdzie sławy filmowej co najmniej tak wysoko jak Grace Moore, Marta Eggerth czy Jeanette Mac Donld.

REDAKTOR: L. CHRZANOWSKI. Wydawca: „ŚWIAT“ Spółka Wydawnicza z o. o. Druk. W. Łazarski, Dzierż. Spółdz. „SPÓJNIA“, Żelazna 58a